płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15.IX.1989 | 17

Fot. Ryszard Borowy

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Zdzisław Byczek

— To jest mój, EU-GENIUSZA, wynalazek — mechaniczny koń na biegunach.

— Może i ja zostanę Diogenesem?

— Jestem jak Cezar — kostka Rubika została rzucona!

A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE!

POKRZYWY nie lubimy i omijamy ją z daleka. Jednak pokrzywa od dawna stosowana jest w medycynie ludowej jako lekarstwo na reumatyzm. Współczesne badania nie tylko potwierdziły, ale znacznie poszerzyły jej lecznicze właściwości. Obecnie lekarstwa z pokrzywy stosuje się w leczeniu anemii i ogólnego osłabienia organizmu.

●

AUTOMATY sprzedające różne przedmioty nie są wcale wynalazkiem XX wieku. Naukowcy znaleźli dowody, że już 3 tysiące lat temu Chińczycy korzystali z urządzeń, które sprzedawały drobne przedmioty codziennego użytku. Po wrzuceniu monety uruchamiała się w wydrążonym bambusie specjalna zastawka, która wysuwała na zewnątrz potrzebny przedmiot.

●

PIERWSZY w Polsce zbiór zagadek został wydany w 1552 r. pt. „Gadki rozmaite, którymi rozum ludzki może być naostrzon". Najstarszy wydrukowany polski rebus pochodzi z 1688 r. Krzyżówkę po raz pierwszy zamieszczono w „Kurierze Codziennym" w 1885 roku.

NAJWIĘKSZYMI rybami spotykanymi w Polsce są: jesiotr zachodni osiągający długość 4 metrów i ciężar 400 kg oraz sum dorastający do 5 m długości, którego waga dochodzi do 350 kg.

Jesiotr zachodni ze względu na rzadkość występowania objęty jest ochroną gatunkową.

●

NAJSZYBCIEJ pływającym zwierzęciem żyjącym w wodzie jest ryba miecznik. Osiąga ona prędkość 97 km na godzinę. Następna jest makrela pływająca z prędkością 80 km na godzinę, dalej tuńczyk — 74 km na godzinę.

Ogromny, wielotonowy wieloryb kaszalot pływa z prędkością zaledwie 50 km na godzinę.

●

W CZASIE odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie, natrafiono ślady pierwszych miejskich wodociągów. Zbudowano je w XVII wieku za panowania Władysława IV. Drewniane rury doprowadzały do komnat zamkowych zimną i ciepłą wodę. Ciekła ona po odkręceniu „kuraszków", czyli kranów. Wodociągi nowoczesne zbudowano w Warszawie w XIX wieku.

Nasza okładka:

Jeszcze nie jesień

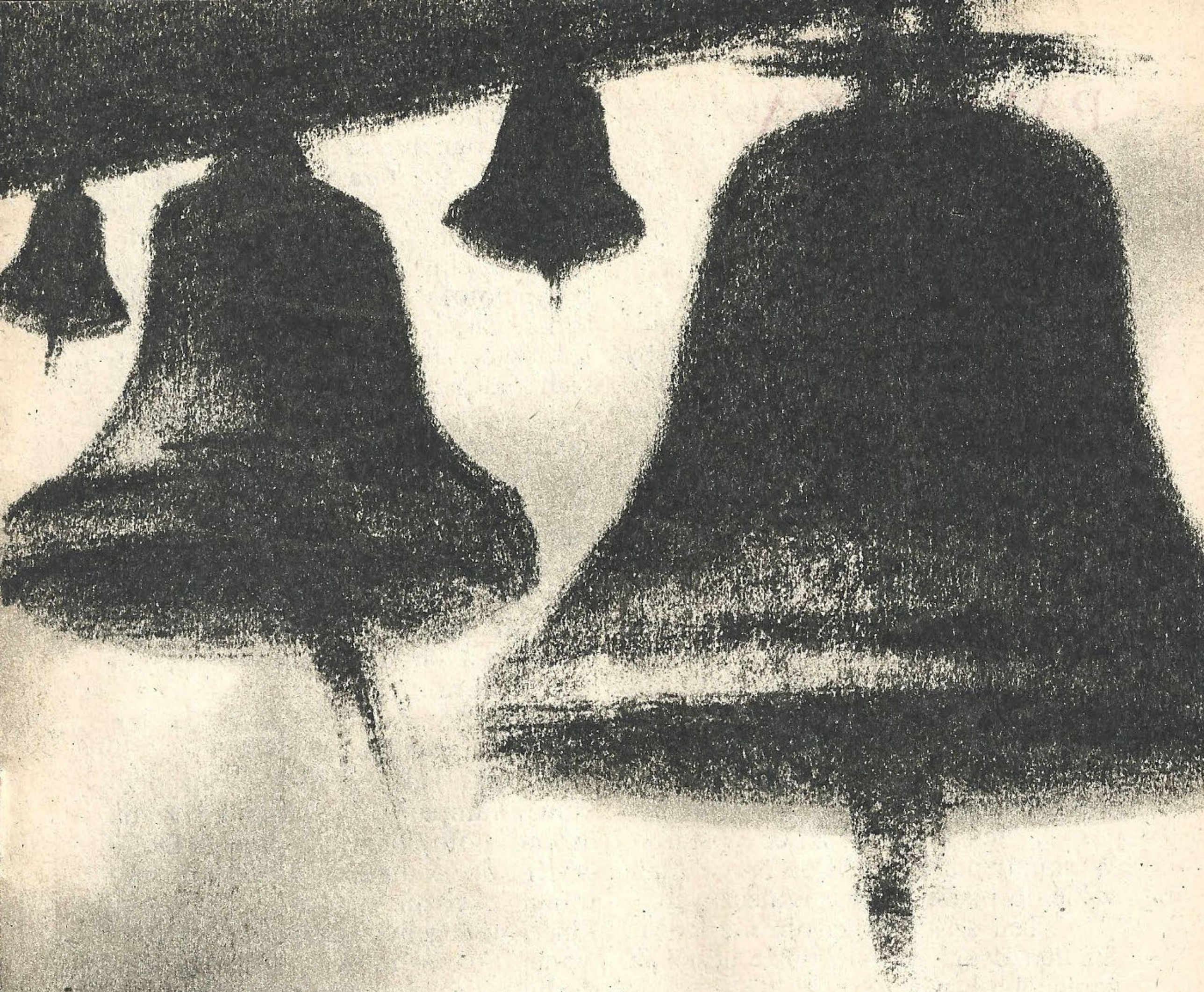

WRZESIEŃ 1939 rok

(Fragment)

Nie szkolny dzwonek —
kościelny dzwon
na wieży
na alarm
uderzył!
Ogień szedł lasem i płonął dom,
biegła tyraliera żołnierzy.

Żegnali ojców, co szli na front.
O, jakże często na zawsze...
Dudniła ziemia od ciężkich bomb
w Ojczyźnie
od maków
krwawszej.

Tadeusz Kubiak
Rys. Justyna Bednarska

PAMIĄTKA Z DNA SZUFLADY

Wystarczyło, żebym zaczął porządkować tę przepaścistą szufladę, ażeby chłopcy mnie obsiedli i każde pudełko, każda fotografia budziła ich ciekawość. To, co sam mogłem zrobić w godzinkę, rozciągało się na całe sierpniowe popołudnie. Oto pordzewiały, zębaty jak piła odłamek, który wrósł w grubą olchę nad Narwią. Po dziesięciu latach obchodziłem nasze stanowiska i przypomniałem sobie patrząc na rudy naciek na korze, jak wciskałem twarz w kępy ościstych traw, słyszałem chłeptanie pocisku kończącego lot i nagły grom, skowyt żelaza, które targało konarami i obsypywało nas zamiecią liści.

— A ten krzyżyk, za co dostałeś? Wujku, ty masz aż dwa — przykładali sobie do piersi Krzyże Walecznych.

— Ten dostałem za obronę Różana, ten drugi za AK. Oba uczciwie zapłacone krwią.

— Opowiedz, jak to było, choć kawałęteczek — prosili. — Strzelałeś z armat?

— Z dachu dwupiętrowych koszar przylepiony do komina przez lornetkę widziałem, jak na ścierniskach toczą się niemieckie czołgi, a za każdym tuman kurzu... Szły. Łańcuszki nacierającej piechoty... A po nas już biła ich artyleria i pozrywała mi druty, miałem głuchy telefon. Nie mogłem prowadzić ognia, podawać komend. Mogłem tylko patrzyć, jak tam na fortach nasi walczą, jak czołgi wloką powyrywane paliki z drutami kolczastymi... Wreszcie mi naprawiono kable i mogłem podać, na jaką odległość bateria ma położyć ognie. W ostatniej chwili rąbnęli po czołgach, jeden zadymił, został, reszta się wycofała. I znowu poszła ku nam nawała zmasowanego ognia. Strzelał cały dywizjon. Budynek się trząsł i zaczął palić. Ja myślałem, że nie zdążę ukryć się w piwnicach, dokoła grzmiało i wyło.

Jak za chwilę ustało, pognałem korytem potoku ku mojej baterii. Myślałem, że ich rozdeptali, roznieśli... Kanonierzy siedzieli skuleni w płytkich okopach. Dalej leżały przysłonięte gałęziami skrzynie z amunicją. Jakby tam wjechał jeden pocisk... Wszyscy poszlibyśmy do Bozi! Niemcy kładli swój ogień kilkaset metrów dalej, na skraj lasu. Wierzyli mapie. Tu gdzie stała moja bateria, było bagno, torfowisko, jednak wtedy lato było tak upalne, że mogliśmy się zaszyć w gęstych zaroślach... Nawet nikt nie został ranny...

— A mówiłeś, wujku, że za ten krzyżyk zapłaciłeś krwią?

— Tak. Tak, ale to było już przy końcu kampanii, 23 września. Działa dawno potopiliśmy w Bugu. Dołączyłem do kompanii świeżo uformowanej z rozproszonych oddziałów. Zbieranina, gęby zarośnięte, oczy czerwone z bezsenności, jednak każdy ściskał w garści karabin. Oni jeszcze chcieli walczyć. Wiedzieliśmy, że już Rosjanie wkroczyli, tu też gotowano się na ich przyjęcie. Nagle pokazało się, ilu tu jest chętnych ich witać jak swoich: Ukraińcy z tęsknoty za niezależną Ukrainę, Żydzi z lęku przed Hitlerem i ci z czerwonymi opaskami na lewym rękawie — komuniści. Ciągnęliśmy na południe, próbowaliśmy się przebić na Węgry. Z obu stron pomrukiwały jeszcze działa, nadsłuchiwaliśmy odgłosów dalekich potyczek.

Wyszliśmy nocą, ubezpieczałem tabory, kilkadziesiąt wozów z leżącymi na słomie rannymi. Prosili, żeby ich nie zostawiać. Na niebie pulsowała łuna. Paliła się jakaś wioska. Mieliśmy przeskoczyć szosę i polnymi drogami przedostać się w lasy. Wtedy z pagór-

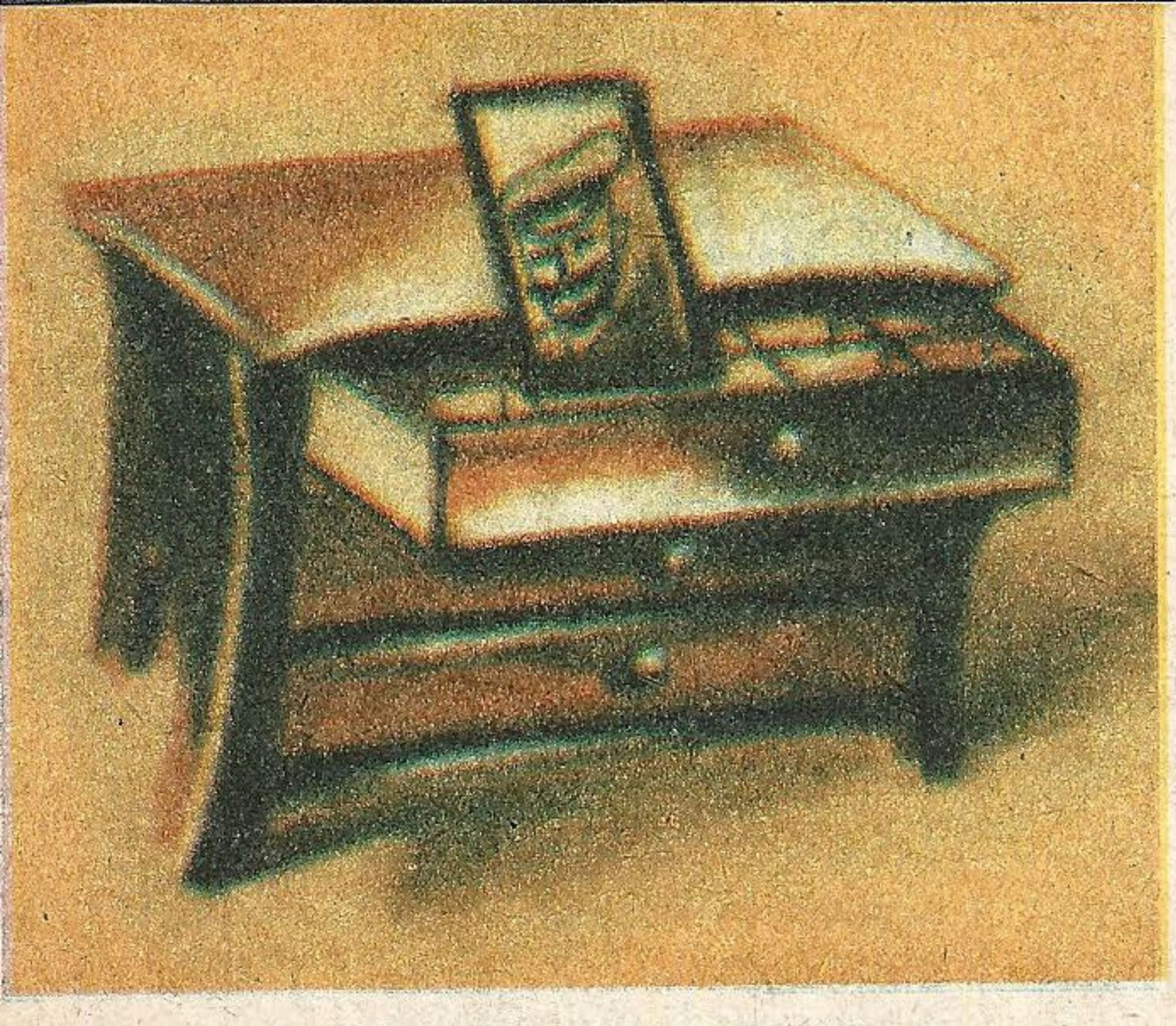

ków, niewidoczni jeszcze dla nas Niemcy, zaczęli po nas strzelać.

— No, chłopaki — zwrócił się do nas jakiś major — trzeba ich spędzić, bo nam wybiją konie, wystrzelają rannych...

— Jak trzeba, to trzeba! Bagnet na broń! — wydałem komendę i ruszyłem trawiastym stokiem ku zagajnikom na pagórkach. Nie oglądałem się, żołnierze poszli. Zrzucali tornistry do rowu, żeby im było lżej, i ruszali tyralierą. Jak zaczęło nad głowami gwizdać, myśmy zaczęli podbiegać. Nagle podniósł się krzyk: — Hurrra!

I wtedy ich wypatrzyliśmy. Płytkie dołki bez szańczyka, baniaste hełmy. Bliskie kule zacinały jak batem po jałowcach. Zrobiło się gęsto od tych poświstywań.

Ktoś jakby potknął się i potoczył w trawie. Niemcy wyraźnie nie oczekiwali ataku. Już pierwsi zrywali się i uskakiwali między pobliskie drzewa. Biegłem pod górę i padałem. I znowu skok. Wtedy go zobaczyłem. Leżał za krzaczkiem i celował we mnie. Czułem to, poderwałem się, gdy wypruł seryjkę, grzmotnął mnie jak kijem po hełmie. Krew mi pociekła po twarzy. Dopadłem go i pchnąłem bagnetem, kiedy skulony wymieniał magazynek. Został bez ruchu. Wyszarpnąłem mu broń i szedłem dalej, strzelając za uchodzącymi. Nie czułem, że zostałem ciężko ranny.

Dołem jechały tabory, otwarliśmy dla nich drogę. Pod lasem zatrzymaliśmy się. Popiół w gardle, serce się tłukło, dyszałem. Niemiecka artyleria zaczęła nas macać. Granaty się rwały w koronach sosen. Leżałem i ziajałem jak zgoniony pies. A potem się pokazało, że nie mogę iść. Jedna kula wyszczerbiła hełm, kruszyny metalu wbiły się w czoło, miałem twarz całą we krwi... Inna przebiła ładownicę, weszła w udo i została zaryta w piszczel nad kolanem. Miałem piekielne szczęście, gdyby celował trochę niżej, dostałbym w środek czoła. To był dobry strzelec, tylko nie zdążył poprawić. Lewy rękaw płaszcza cały w dziurach, jakby go mole pocięły, nie kule.

Tu macie tę, co we mnie wlazła.

Rzuciłem im na stół skręcony pocisk, który dwa lata później kolega chirurg, u mnie w domu operując na stole kuchennym, wyłuskać mi musiał, bo mi staw kolanowy zaczął puchnąć, kulałem.

— A dlaczego nie w szpitalu?

— Bo zaraz by się zaczęli pytać: a skąd? A gdzieżeście kulkę zafasowali? Nie zapominajcie, że uciekłem z jenieckiego szpitala. Dla mnie klęska wrześniowa nie była jeszcze końcem wojny. To był dopiero początek Drugiej Światowej, którą późno, bo późno, ale jednak wygraliśmy!

Wojciech Żukrowski
Rys. Justyna Bednarska

WOJCIECH ŻUKROWSKI: podchorąży artylerii, we wrześniu 1939 bronił starych fortów na przedmieściu Różana, brał udział w walkach odwrotowych nad Narwią, pod Stoczkiem, Kałuszynem, Tomaszowem Lubelskim. Ranny zbiegł ze szpitala jenieckiego w Tomaszowie Lubelskim. Ukrywał się pracując jako robotnik w kamieniołomach. Żołnierz Armii Krajowej, student tajnego uniwersytetu. Redagował z Tadeuszem Kwiatkowskim konspiracyjny „Miesięcznik Literacki". Zakończył wojnę w Ludowym Wojsku Polskim na Śląsku w stopniu kapitana. O polskim wrześniu pisał w tomie opowiadań „Z kraju milczenia" i w powieści „Dni klęski".

POLSKA

Pytasz się: co to jest Polska?

To niebieskookie
niezapominajki w rowie,
to woda stojąca na łąkach,
wielkanocna.

To dziewczyny
idące obok żyta,
miedzami,
gładzące dłonią kłosy.

To linia wysokiego napięcia.

Stanisław Ryszard Dobrowolski
Rys. Katarzyna Czerner-Wieczorek

BITWA NAD BZURĄ

Wrzesień 1939 roku był piękny, jak zwykle w naszym kraju. Dnie były słoneczne, ciepłe, ale nocami, zwłaszcza w drugiej połowie miesiąca ciągnął od ziemi chłód. To piękne, bezchmurne niebo wrześniowe było jednak w tym roku groźne dla Polaków.

Krążyły po nim setki samolotów niemieckiej Luftwaffe. Atakowały naszych żołnierzy i uciekającą ludność cywilną, która w obawie przed najeźdźcą hitlerowskim rzuciła się do masowej ucieczki na wschód. Lotnicy niemieccy bombardowali też nasze miasta i wsie. Polska, wówczas przeważnie drewniana, płonęła. Tym bardziej, że oddziały niemieckie specjalnie podpalały wsie, aby w ten barbarzyński sposób pokazać, zaznaczyć przemieszczanie się linii frontu.

Niemcy posuwali się szybko. Mieli bowiem ogromną przewagę.

Armia niemiecka liczyła 2 miliony żołnierzy.
Wojsko polskie około 1 miliona.
Hitlerowcy mieli 11 000 dział, my 4500.
Oni mieli 2800 czołgów, my 600.
Samolotów przeciw Polsce użyli 2000, a naszych latało 400.
Oprócz tego część niemieckiego uzbrojenia i sprzętu była bardziej nowoczesna.

Mimo tak niekorzystnego stosunku sił Wojsko Polskie od pierwszego dnia wojny stawiało najeźdźcy zacięty opór. Biło się na granicy. Zmuszone do odwrotu walczyło uparcie w kolejnych starciach w głębi kraju, starając się za wszelką cenę spełnić, niewykonalne wówczas zadanie — odparcie wroga.

Spośród tych walk największą była bitwa nad Bzurą, w której 200 tys. żołnierzy polskich biło się z blisko dwukrotnie silniejszym — pod koniec bitwy — wrogiem.

Niemcy wykorzystując swe początkowe sukcesy — od 3 września — szybko posunęli się kolumnami pancernymi przez Radomsko, Piotrków Trybunalski ku Warszawie i 8 września uderzyli na nią.

Ich komunikat wojenny głosił, że niemieckie „wojska szybkie, swymi czołowymi jednostkami, w różnych miejscach osiągnęły Wisłę i w godzinach popołudniowych wdarły się od

Generał dywizji Tadeusz Kutrzeba

południowego zachodu do polskiej stolicy". Wrogowie Polski odczytali to, jako wiadomość o upadku Warszawy.

Było to kłamstwo.

Improwizowany garnizon stolicy — 5 lwowska dywizja piechoty i miejscowe oddziały — 8 i 9 września odparły szturm wroga.

*

● Tymczasem 9 września, znad Bzury, w rejonie Łęczycy, ruszyła do natarcia ku Łodzi Grupa Operacyjna gen. Edmunda Knolla-Kownackiego, wchodząca w skład armii „Poznań" gen. Stanisława Kutrzeby.

Po ciężkich walkach, znakomicie wyszkolone pułki poznańskie odrzuciły Niemców na południe. Odbiły Łęczycę, oraz podeszły pod Ozorków i Stryków.

Niemcy byli zaskoczeni. Bronili się desperacko. Zaczęli ściągać posiłki nad Bzurę. Opór ich narastał.

● Teraz gen. Kutrzeba postanowił przerwać natarcie na Łódź —

Grupą Operacyjną gen. Mikołaja Bołtucia, wchodzącą w skład armii „Pomorze" gen. Władysława Bortnowskiego uderzyć przez Łowicz na Skierniewice.

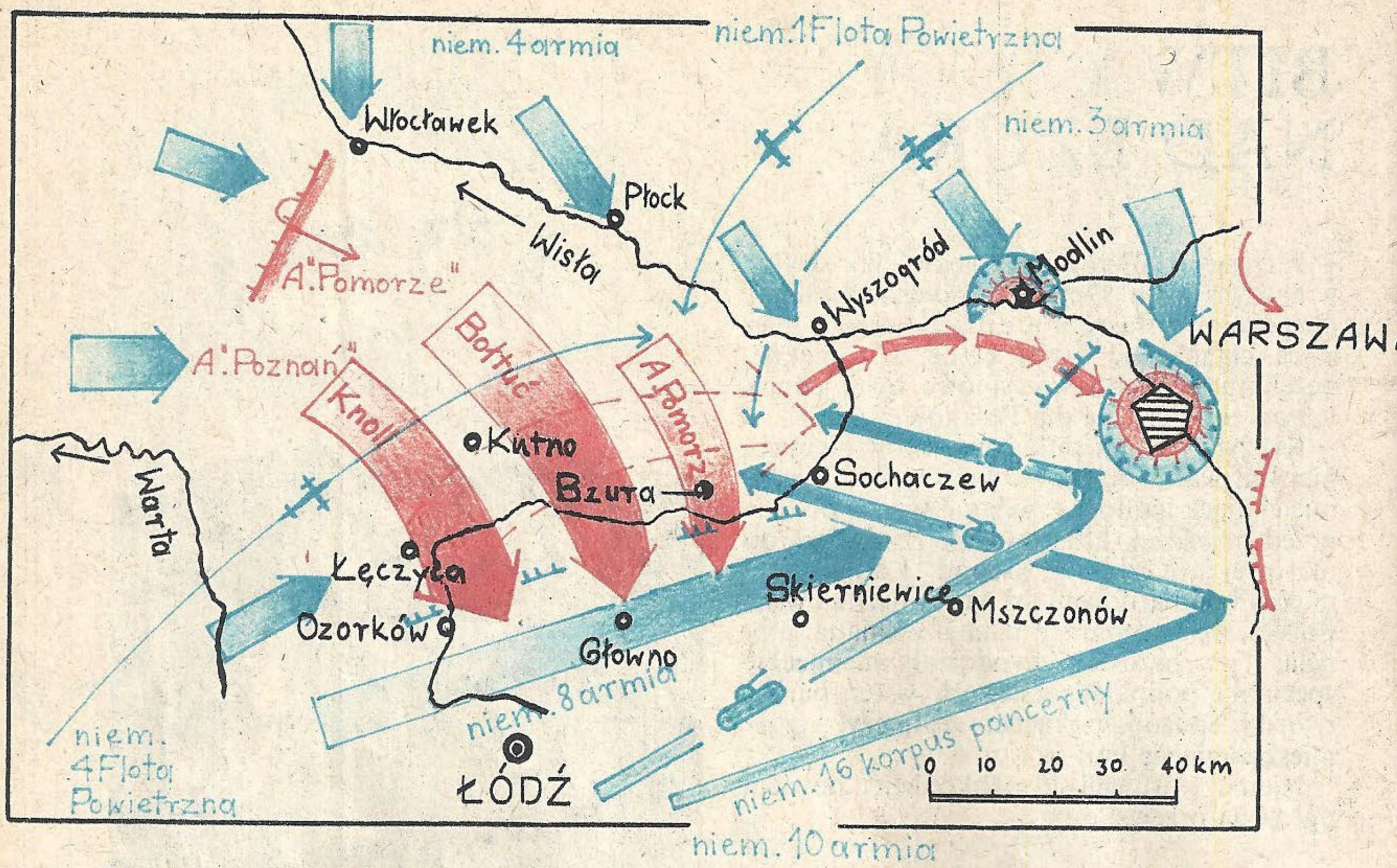

Mapkę opracował Tadeusz Rawski, rys. Justyna Bednarska

Zaś Grupę gen. Knolla-Kownackiego przegrupować nad dolną Bzurę (koło Sochaczewa), by stamtąd przebijać się bezpośrednio ku Warszawie.

● 13 września Grupa gen. Bołtucia — od sforsowania Bzury rozpoczęła uderzenie na Skierniewice.

Niemcy, dopiero teraz zorientowali się, z jak wielkiej skali uderzeniem mają do czynienia, i nasilili kierowanie posiłków nad Bzurę (w tym wojsk pancernych, które atakowały Warszawę).

● 16 września natężenie walk osiągnęło apogeum. Niemcy uderzyli ze wszystkich stron na wojska armii „Poznań" i „Pomorze".

Od wschodu przez Sochaczew uderzył na Polaków niemiecki 16 korpus pancerny, ściągnięty spod Warszawy. Zderzył się czołowo z armią „Poznań".

Przewaga wroga była przytłaczająca. Fale czołgów wspieranych przez artylerię i ponad tysiąc samolotów szły na jednostki polskiej piechoty.

Broniły się one ogniem artylerii polowej i przeciwpancernej, karabinów przeciwpancernych i granatami. Wiele naszych oddziałów uległo w nierównej walce, inne, jak III batalion 68 pułku piechoty wielkopolskiej mjr-a Wojciecha Krajewskiego wytrwały. 6 bateria 17 pułku artylerii lekkiej kpt. Ludwika Głowackiego zniszczyła pod folwarkiem Ruszki 22 czołgi niemieckie...

*

Wobec przewagi wroga tylko części sił armii „Poznań", na czele której szła kawaleria gen. Romana Abrahama, udało się przebić przez dolną Bzurę i przedostać do Puszczy Kampinoskiej (tam zginęli generałowie Franciszek Wład i Stanisław Grzmot-Skotnicki).

Oddziały te kontynuowały marsz ku Warszawie raz po raz napotykając na zapory niemieckie.

19 września 14 pułk ułanów jazłowieckich (płk. Edward Godlewski) pod Wólką Węglową nagłą szarżą otworzył sobie drogę do Warszawy, a następnego dnia uczyniły to siły główne piechoty.

Część jednostek została jednak zablokowana, w tym Grupa gen. Bołtucia, który 22 września poległ śmiercią żołnierza pod Łomiankami.

Bitwa nad Bzurą była największą w początkowym okresie II Wojny Światowej. Żołnierze polscy dali w niej dowód najwyższego męstwa i poświęcenia.

Tadeusz Rawski

NA BRZEGU RZEKI DALEKIEJ

na brzegu rzeki dalekiej
w słońcu gęstym jak zboże
stoi zielony
osiemnastoletni żołnierz

rzeką czołgi płyną
słońcem samoloty
wszystko wszystko
przeciw niemu

a on taki młody!

rzeka go osacza
krew uchodzi z żył
zrywa się matka
dobiega drzwi

tej rzeki już nie ma
zardzewiały wrogie czołgi
— A co on? Co z nim?!
w oceanie powietrza tkwi

jak topola wysoki
jako brzózka młody

Tadeusz Chudy
Rys. Bożena Truchanowska

UCIECZKA *

Raz tylko jeden w ciągu tych wrześniowych wędrówek Buki [1] miały możność pożytecznego wystąpienia. Było to pod Dębem Wielkim. Jakaś zbójecka lotnicza eskadra zbombardowała pociąg z uchodźcami. Chłopcy, przechodząc obok toru, ujrzeli przeraźliwy obraz: wśród potrzaskanych, wykolejonych, dymiących wagonów — setki ludzi, krzątających się upiornie lub leżących we krwi. Nigdzie nie widać białych kitlów lekarzy i sanitariuszy, nigdzie wozów, które by przyjmowały rannych. Na równolegle z torem biegnącej szosie migają od czasu do czasu

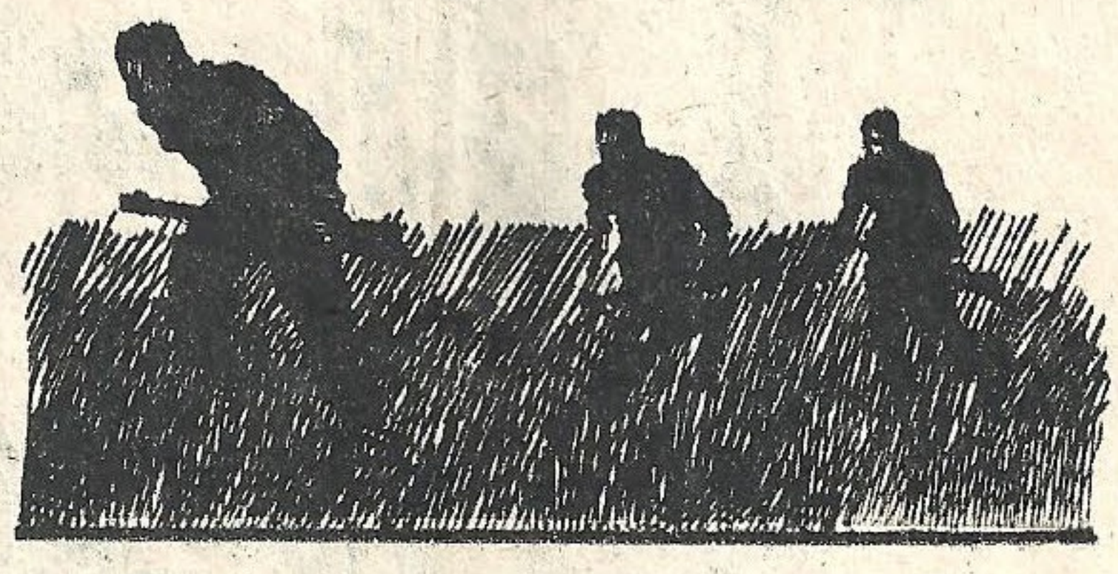

auta, przesuwają się wozy, żaden się jednak nie zatrzymuje, żaden nie stara się dostrzec tuż obok widocznych plam krwi i ludzkiego cierpienia.

— Panowie, tak być nie może — mówi powoli Alek. Twarz ma pobladłą. Po raz pierwszy ujrzał tak bezpośrednio i blisko grozę wojny. — My tych ludzi tak nie zostawimy.

W parę minut potem, gdy cały oddziałek Buków, rozproszony wśród rannych przystępuje do najkonieczniejszych opatrunków, Alek staje na skraju szosy i daje znak zbliżającemu się samochodowi, by stanął. Auto, nie zwalniając biegu, przemknęło dalej. Drugie — tak samo. Nie zatrzymał się również przejeżdżający wóz chłopski, mimo nalegań Alka.

— Do jasnej cholery! — wyrywa się z ust młodego człowieka. Dłonie zwijają się w pięści, szczękę co chwila chwyta skurcz. — Chłopcy, do mnie — woła w kierunku kolegów.

Po chwili stoi na szosie cała gromadka. Zbliża się auto ciężarowe. Teraz już nie machają rękami i nie proszą. Stoją pośrodku drogi z niezłomną decyzją w oczach.

— Stać!

Auto ciężarowe powoli zatrzymuje się.

— Wszyscy wysiadać z auta! — niecierpiącym sprzeciwu głosem rozkazuje Alek. — Pan zabierze rannych z pociągu — nakazuje szoferowi. Szofer chwilę się waha. Polecenie bowiem wydaje jakiś harcerz, nie wojskowy. Ale harcerz jest wysokiego wzrostu, z oczu jego widać, że nie żartuje, a za nim stoi pięciu czy sześciu innych, których twarze niedwuznacznie wskazują na to, czego chcą. Więc szofer wychodzi z auta. Powoli zaczynają schodzić podróżni. — Państwo do najbliższego miasteczka pójdą pieszo — mówi Alek. — Tam dostaniecie z powrotem wasze auto. Mężczyzn proszę o pomoc w przenoszeniu rannych.

I jak to często bywa w takich chwilach — nastrój egoizmu i oporu radykalnie się zmienił w nastrój współdziałania i pomocy. Następne auta i wozy zatrzymują już nie tylko Buki, lecz i ich przygodni pomocnicy z auta ciężarowego. Do późnego wieczora trwa męczący duszę i nerwy transport nieszczęsnych, cierpiących ludzi, do miasteczka.

Aleksander Kamiński
Fragment rozdziału „W burzy i we mgle" z książki „Kamienie na szaniec"
Rys. Maciej Jędrysik

---

* Tytuł od redakcji
[1] Drużyna harcerska

A metalowy orzełek z przedwojennej czapki wojskowej

B piechur w pełnym rynsztunku

C kawalerzysta w pełnym rynsztunku

D samolot myśliwski PZL-11

WOJNA OBRONNA 1939

Rys. Szymon Kobyliński

ROZMOWA z zegarem

Bardzo groźnie podkręca wąsa
szkolny zegar, przyjaciel stary.
No, już dobrze, już się nie dąsaj,
już skończyły się wielkie wagary.

Przepraszamy cię za tę rozłąkę,
lecz to przecież nie nasza wina,
że nie mogłeś iść z nami na łąkę,
że na góry nie mogłeś się wspinać.

Ścienny zegar na plażę nie chodzi,
żadnej mewy nad morzem nie karmi...
Mógłbyś sobie mechanizm uszkodzić
i nie pomógłby żaden zegarmistrz.

Szybko biegną wskazówki zegara,
zaraz dzwonek rozmowę nam przerwie.
Czas na lekcje.
O wielkich wagarach
pogadamy na dużej przerwie.

Wanda Chotomska

SŁONECZNY dzwonek

Kto patrzy w słońce? Słonecznik!
I my też! I my też!
Wracamy z wędrówki, z wycieczki,
w plecaku piosenka i wiersz.

Wracamy znad morza, znad Wisły,
znad jezior błękitnych, srebrzystych,
wracamy z Borów Tucholskich,
zewsząd — z całej Polski.

Kołysały nas żagle i niosły,
nurt rzek rzeźbiliśmy wiosłem,
wir wód wśród barwnych kamieni
u stóp Podhala i Pienin.

Kto cieszył się słońcem, tym słońcem
lipcowym,
sierpniowym,
gorącym?

My!

Lecz piękne jest słońce i września,
w tej pierwszej, tej złotej jesieni.
Wracamy do ciebie, Szkoło,
rozśpiewani i opaleni.
Kto patrzy w słońce? Słonecznik.
My czekamy — na dzwonek słoneczny!

Tadeusz Kubiak
Rys. Bohdan Butenko

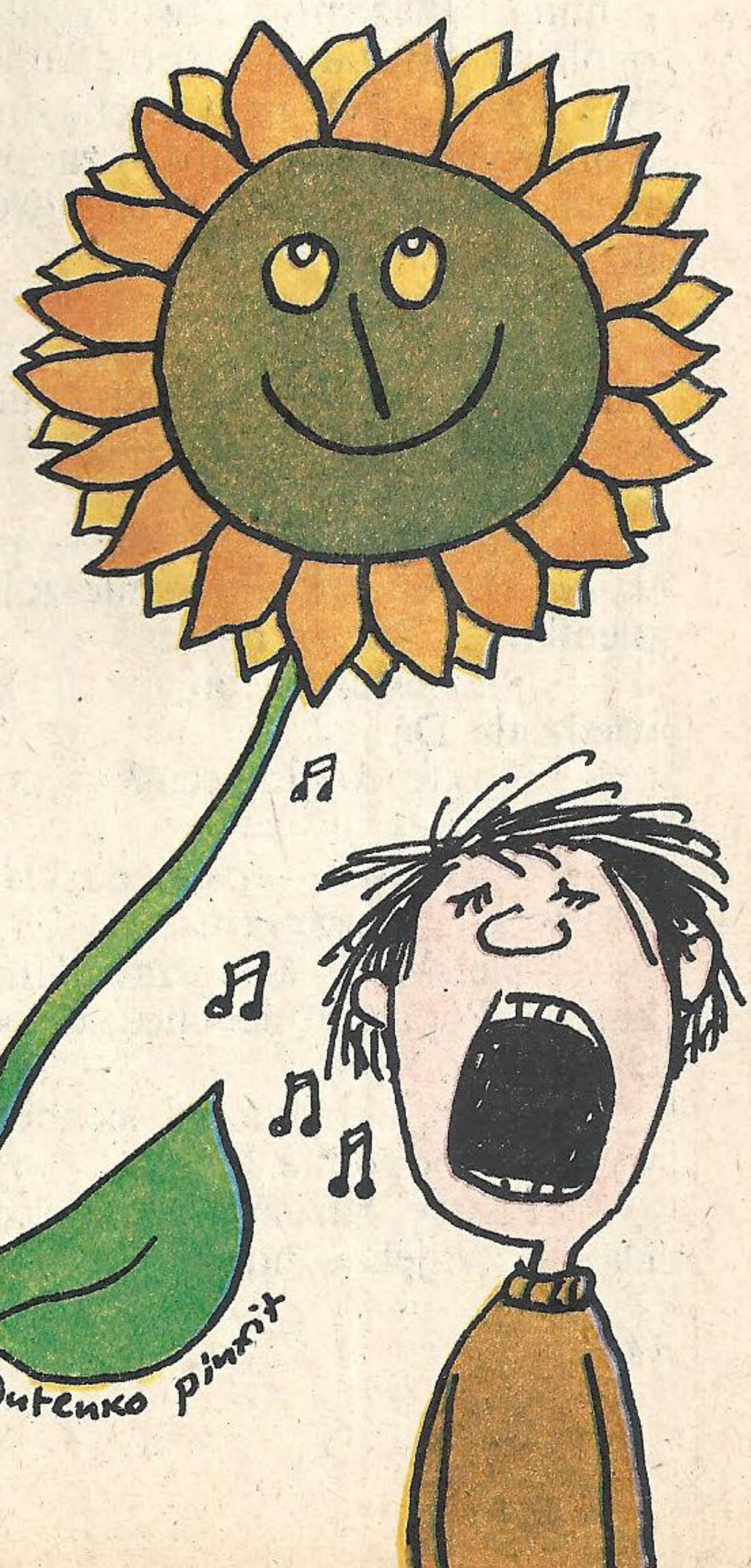

RŻYSKO

(Wspomnienie z wakacji)

Wakacje przetoczyły się na drugą stronę, nadszedł czas żniw.

Któregoś dnia, kiedy wybrałyśmy się do lasu, gdzieś nam się zapodziała ścieżka przez żyto. Nie było jej, a właściwie była, tylko, że nie miała już żadnego znaczenia.

Całe pole było gołe, zamiast rosnącego zboża było to po prostu rżysko.

Lato dawało pierwsze sygnały, że trzeba rozważniej gospodarować wakacyjnym czasem, że jest go coraz mniej.

Niby nic, po prostu żniwa, a jakby jakiś cień szarości pokrył beztroskę letnich dni.

Dzieci gospodarzy — Helka i Janek, z daleka dawały nam jakieś znaki. Byli młodsi od nas; niechętnie się z nimi bawiłyśmy. Zresztą jakoś w ogóle wystarczałyśmy sobie same. Ale tym razem... Było nam trochę smutno, a oni wyglądali na bardzo zadowolonych. Byłyśmy poza tym ciekawe, czego mogą od nas chcieć.

Podeszłyśmy.

— Przejdziecie przez całe pole? — zapytał Janek. — Ale od końca do końca — pokazał ręką. — Stąd, aż do lasku!

— Na pewno nie psejdą — powiedziała Helka, która śmiesznie sepleniła. — One są bojące.

— Nie jesteśmy bojące — odpowiedziała Danka.

— No, to co? Idziecie? — dopytywał się Janek.

— Oczywiście — oświadczyła Danka i weszła na rżysko.

— Ale! Mądrala — zawołała Helka. — Popats, one chcą w butach chodzić po rżysku.

— Po rżysku chodzi się boso — wyjaśnił spokojnie Janek.

— Proszę bardzo — powiedziała Danka i zdjęła sandałki.

Zrobiła kilka kroków, zachwiała się lekko, ale szła dalej.

Oczywiście, jak papużka-nierozłączka podążyłam za nią.

— Nie zdejmuj sandałków — szepnęła do mnie, kiedy już byłam blisko niej i schylałam się, żeby odpiąć rzemyki. To bardzo kłuje. Nie wytrzymasz.

— A ty wytrzymujesz.

Zdjęłam sandałki i zrobiłam parę kroków. Okropnie zabolało. Przypomniała mi się bajka Andersena o syrenie, która z miłości do rybaka zapragnęła być normalną dziewczyną i zamieniła rybi ogon na dwie nóżki. Jednakże każde stąpnięcie miało jej odtąd sprawiać nieopisany ból.

— Czy my długo mamy tak chodzić? — zapytałam moją siostrę, która, trochę blada, z zaciśniętymi ustami bohatersko stąpała po rżysku.

— Przecież powiedzieli, że do lasku. Zobacz, jak nas wyprzedzili, a ruszyłyśmy razem z nimi.

Helka i Janek byli już prawie pod lasem. Biegali po rżysku jak po miękkiej, puszystej trawie.

— Będą się z nas śmiać — dodała po chwili i jęknęła. — Trafiłam na jakiś strasznie ostry kolec.

— Ja cały czas trafiam na ostre kolce — powiedziałam z oczami pełnymi łez.

— Nie możemy stchórzyć — postanowiła Danka. — A ty, jak chcesz, to możesz założyć sandałki. Oni z daleka i tak nie zobaczą.

— Nie założę! Ani mi się śni! — Obraziłam się.

Przeszłyśmy jeszcze kawałek, bez żadnej szansy dogonienia tamtych.

Wreszcie Janek i Helka zawrócili, dobiegli do nas.

— W zeszłym roku byli tu inni letnicy — powiedział Janek. — Też z Warszawy. Mieli dwóch chłopaków i dziewczynę...

Patrzyłyśmy na niego wyczekująco, pełne obaw, co powie jeszcze.

— Nie dali rady chodzić po rżysku — powiedział Janek. — Jesteście lepsze — stwierdził łaskawie.

— Pewnie, ze jesteście lepse — zasepleniła Helka. — Tamta ich siostra to aż becała.

Pochwalili nas, więc mogłyśmy zejść ze rżyska. Nie wkładałam sandałków, już lepiej było iść boso i chłodzić obolałe stopy o trawę.

Helka patrzyła na nasze nogi.

— Ale dostaniecie od swojej mamy!

— Za co? popatrzyłyśmy na nią zdziwione.

— Zeście się tak pokalecyły — wyjaśniła.

Szłyśmy do domu powoli, krok za krokiem, ostrożnie stawiając bolące stopy. A oni zawrócili i znów biegli po rżysku.

Mama tylko pokiwała głową na nasz widok, a potem postawiła na podłodze miskę z ciepłą wodą, w której rozpuściła trochę nadmanganianu potasu, takie fioletowe kryształki.

Moczyłyśmy swoje pokłute stopy i poczułyśmy się znacznie lepiej.

— Od jutra będę chodzić tylko boso! — postanowiła Danka. — Od rana do wieczora. Będę miała taką grubą skórę jak wiejskie dzieci.

Mama roześmiała się.

— Chodzenie boso jest na ogół zdrowe — powiedziała. — Ale boso chodzić po kolącym rżysku nie każdy potrafi. Tego też się można nauczyć. Nie trzeba stawiać stóp z góry. Na ściernisku, idąc, należy stopę przesuwać delikatnie do przodu. Wtedy rżysko nie tak mocno kłuje.

Wanda Osuchowska-Orłowska
Rys. Wanda Orlińska

KSIĘŻYC NAD WARSZAWĄ

(Fragment)

Noc warszawska wie dobrze,
że jej do twarzy z księżycem,
i chętnie, gdy tylko może,
przystraja w księżyc ulice.

To go jak kulę potoczy
pomiędzy dachy i wieże,
to w księżycowy warkoczyk
tysiąc balkonów ubierze.

Ale i księżyc nareszcie
zbuntował się pewnej nocy.
Sam chce dziś chodzić po mieście,
nie potrzebuje pomocy. (...)

Hanna Łochocka

Rys. Halina Zakrzewska-Zaleska

H. Zakrzewska

POJAZDY W DAWNEJ WARSZAWIE (1)

Dorożka

Przed I wojną światową na ulicy Świętokrzyskiej pod nr 35 stał dom dwupiętrowy. W tym domu mieszkałem, jako mały chłopczyk, z rodzicami i siostrzyczką. Okna naszego mieszkania wychodziły na ulicę, na którą wyglądanie było naszym najulubieńszym zajęciem, a raczej zabawą. Obserwowanie tej ruchliwej i tajemniczej ulicy było fascynujące. Był to nasz pierwszy teatr. Tam się zawsze coś działo, niby to samo, a ciągle w innej obsadzie.

Panie i panowie snujący się po chodniku, przystający przed wystawami sklepów lub spieszący dokądś. Dokąd? I ten rozkosznie ciekawy ruch na jezdni z ułożonej sztorcem kostki drewnianej. Tak były brukowane co ważniejsze ulice, aby uciszyć piekielny turkot kół z żelaznymi obręczami toczącymi się po kamieniach. Bo inne ulice miały „kocie łby". Ruch nie był wielki i można było odprowadzać wzrokiem, jak dawało się dojrzeć z okna, każdy wózek, furgon, dorożkę, powóz, karetę.

Dorożki były dwojakie: jednokonne na żelaznych obręczach i parokonne na gumach. Później już wszystkie były na gumach. Ale wszyst-

Faeton
Dwukołowy tilbury

kie, przynajmniej w śródmieściu, były czyste, lśniące lakierem i białym metalem.

Dobrze jeszcze pamiętam podwórze naszego domu, na którym znajdowała się wozownia i stajnie oraz kantor „Wynajmu karet i powozów". To, co się działo na podwórzu w związku z tą instytucją, było dla mnie i moich rówieśników przedmiotem nigdy nie wyczerpanego zainteresowania. Ranne czyszczenie koni, wyprowadzanie z wozowni pojazdów, mycie ich, zaprzęganie, wyjazd na ulicę lub powrót z kursu, wyprzęganie i pojenie koni — każda z tych czynności tak doniosłych i interesujących była powodem do natychmiastowego przerwania zabawy i połykania wzrokiem tych przepięknych dla nas scenek. Słyszę jeszcze rozkoszny i rozgłośny tupot kopyt na drewnianej podłodze w sklepionej bramie.

Ale nie tylko karety, powozy i dorożki jeździły po Warszawie. Na ulicach spotykało się wszelkie pojazdy, od wozów i furmanek chłopskich do eleganckich land z herbami na drzwiczkach.

Oczywiście, nie wszędzie. Fury, platformy i furgony nie miały prawa wjazdu na pryncypalne ulice, a chłopskie furmanki od rogatek do targowisk mogły przejeżdżać tylko bardzo rano lub w niektóre dni tygodnia. Na wertepach w pobliżu placów budowy zdarzało mi się widzieć, męką i wysiłkiem, uczłowieczonego konia, katowanego kozicą od bata przez zbydlęconego woźnicę. Ach, jaką miałem ochotę podbiec, kopnąć go i napluć na niego. Ale babcia trzymała mnie mocno za rękę, więc skończyło się tylko na moim bezsilnym płaczu.

Coś podobnego do paryskiego i wiedeńskiego korsa posiadała i Warszawa. W każde niedzielne przedpołudnie, zwłaszcza letnie i pogodne, w Alejach Ujazdowskich odbywało się korso pojazdów. Pojazd za pojazdem nieprzerwanym sznurem ciągnął stępa od Placu 3 Krzyży do Belwederu i z powrotem. A były tam nie tylko wynajęte dorożki jedno i parokonne, ale i powozy, i landa z lokajami. Karety natomiast rzadko się zdarzały, gdyż trzeba było wszystko widzieć i pokazywać siebie. Można więc było widzieć breki, amerykany, kabriolety. Czasem jakiś młody arystokrata powoził w „tilbury" albo w „buggy". Obok, lub z tyłu, siedział stangret z przepisowo skrzyżowanymi na piersiach ramionami i wysuniętą do przodu brodą. A tam w dwukołowym powoziku jednokonnym siedzi dama i powozi. To jednosiedzeniowy gig z opuszczoną budką i z bagażnikiem w kształcie małej walizeczki. Jaki lekki, jaki wytworny w linii. Mogłoby się wydawać, że to on nadaje wdzięk damie powożącej w nim. Ale to było już tak dawno i dzisiaj wydaje się nieprawdziwe.

Tekst i rysunki: Konstanty Maria Sopoćko

ABY JESZCZE CIEKAWIEJ, ZABAWNIEJ, MĄDRZEJ...

Fot. Olejniczak

Łatwo wyrazić takie pragnienie: żeby filmy, książki, obrazy i piosenki dla dzieci były coraz piękniejsze i ciekawsze! Ale jak to zrobić?

W Poznaniu pomyśleli. Już od kilkunastu lat odbywają się tu Biennale Sztuki dla Dziecka.

Co dwa lata zbierają się w Poznaniu artyści, krytycy, uczeni i wydawcy z Polski i z wielu krajów świata. Spotykają się, rozmawiają, słuchają wykładów, oglądają filmy, spektakle teatralne i wystawy: książek, ilustracji, zabawek.

W tym roku też przyjechali. Nie sposób opowiedzieć, co działo się w ciągu tych 10 dni. Powiem więc tylko o tym, co mi szczególnie utkwiło w pamięci.

— Wśród 10 najlepszych książek wydanych w 1988 roku, a wyłonionych w plebiscycie czytelniczym (zorganizowanym przez Ogólnopolski Ośrodek Sztuki dla Dzieci i Młodzieży w Pozhaniu, redakcję „Nowych Książek" i polską sekcję IBBY) znalazło się aż 7 książek Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia". Autorem jednej z nich jest pan Zdzisław Nowak, stale obecny na łamach „Płomyczka". Serdecznie mu gratulujemy.

— Podczas tegorocznego, VIII już z kolei Biennale Sztuki dla Dziecka nadano dwa Ordery Uśmiechu. Od 1968 roku, od kiedy istnieje Order Uśmiechu, otrzymało go ponad 300 osób z całego świata. I choć laureaci orderu pochodzą z różnych krajów, mówią różnymi językami, to łączy ich jedno — wszyscy swoją pracą i działalnością dają radość i uśmiech dzieciom. W Poznaniu to wyróżnienie, na wniosek dzieci, otrzymali panowie: Edmund Oses (dyrektor Zakładu

Opiekuńczego w Owińskach koło Poznania) i Witold Bońkowski (prezes Stowarzyszenia Pomocy Mieszkaniowej dla Sierot). Obaj (fot. str. 18) od wielu lat pomagają najbardziej potrzebującym.

— Podobały mi się również bardzo zabawki zaprojektowane przez studentów szkół plastycznych. Kolorowe, miękkie. Zwłaszcza zestaw przygotowany przez Marka Murawskiego. Figury geometryczne wycięte z gąbki i obszyte kolorowymi materiałami. Można z nich zbudować prawdziwy dom. Można po nich skakać, bujać się, przewracać.

I wreszcie chciałabym wspomnieć o przedstawieniu holenderskiego teatru PEER, którego spektakl pt. „Iluzja" był czymś nadzwyczajnym i niespotykanym. Była to rzecz o człowieku uwięzionym we własnej głowie, zabawna i filozoficzna. Dzieci się śmiały, a dorośli zastanawiali.

Myślę, że Ci twórcy, którzy oglądali swoje wyróżnione książki, piękne zabawki i te wspaniałe spektakle — powiedzieli sobie, każdy z osobna: za dwa lata ja wam jeszcze coś ciekawszego pokażę!

Elżbieta Wrzecionkowska

10 najlepszych książek 1988 r.

1. KUCHNIA PEŁNA CUDÓW — Maria Terlikowska, MAW Warszawa 1988
2. POLYANNA, POLYANNA DORASTA — Eleanor Porter, NK czyli, Instytut Wyd. „Nasza Księgarnia" 1988
3. DOROSNĄĆ — Zofia Chądzyńska, NK 1988
4. JAK BORUTA ZAKOCHAŁ SIĘ W KARCZMARZOWEJ CÓRCE. Baśnie kurpiowskie. Zdzisław Nowak, NK 1988
5. MIŚ PADDINGTON (trylogia) — Michael Bond, KAW Warszawa 1988
6. KLASÓWKA Z PAMIĘCI — Włodzimierz Paźniewski, NK 1988
7. WESELE PANI LISZKI — bracia Grimm, wyd. „Alfa" 1988
8. DOMINIKA ZNACZY NIEDZIELA — Maria Borowa, NK 1988
9. KRÓLOWA NIEWIDZIALNYCH JEŹDŹCÓW — Marta Tomaszewska, NK 1988
10. HUBERT I JEGO PRZYJACIEL KUDŁACZ — Otfried Preussler, NK 1988

Bohaterowie przedstawienia pt. „Iluzja"

działania. Musielibyśmy zdobyć pojazd kosmiczny przynajmniej średniej klasy, aby dotrzeć do którejś z baz, i to w sytuacji, gdy wszystko jest dokładnie strzeżone. Nie jestem pewien, czy nie przeprogramowano komputerów pokładowych na wszystkich istniejących na Wiridii statkach. Nasze szanse są chyba bardzo marne.

Zielony uśmiechnął się gorzko i dodał:

— Jesteśmy chyba świadkami narodzin nowej ery.

— Mam pomysł! — krzyknęła Baśka.

Popatrzyliśmy na nią z nie ukrywaną nadzieją.

ZMIANA PLANÓW 17

O realizowaniu wycieczek nie mogliśmy nawet marzyć. Ponadto nasz powrót do domu stanął pod znakiem zapytania. Postanowiliśmy działać i przystąpić niezwłocznie do opracowania planu ucieczki ze zrewoltowanej planety. Założenie było dość proste. Należało za wszelką cenę wydostać się poza strefę kontrolowaną przez BP—JEDEN i sprowadzić pomoc z baz. Gorzej było z realizacją planu. Nie wiedzieliśmy, jakim obszarem zawładnął zbuntowany robot. Sziko przypuszczał, że bazy nic nie wiedzą o przewrocie.

— Dowódcy baz są członkami Rady, gdyby w porę zostali uprzedzeni o tym, co się stało, mogliby opanować sytuację.

— Jestem przekonana, że BP—JEDEN nie czuje się na tyle mocny, aby opanować bazy. Dopiero próbuje uruchomić produkcję błękitnych robotów. Czas działa na naszą niekorzyść. Jeżeli możemy coś osiągnąć, to tylko przez szybkie działanie.

Powiedziawszy to Baśka zamyśliła się. Przez chwilę siedzieliśmy posępni.

— Nie widzę żadnej możliwości

— Co robicie ze starymi statkami?

— Oddajemy do przeróbki.

— Czyli na takim złomowisku można znaleźć jakiś pojazd na chodzie — popatrzyła pytająco na Wiridian.

Domyśliłem się w lot, o co jej chodzi.

— Byłoby to proste, gdybyśmy mogli dostać się do tej fabryki. Znajduje się ona za morzem — Tisza z rezygnacją pokręcił głową.

— Czy na awiotce można przelecieć przez morze? — Baśka nie ustępowała.

— Teoretycznie, tak.

— A praktycznie, co nam grozi?

— Nikt tego dotychczas nie próbował — wyjaśnił Tisza.

— I to jest ważny powód? — spytała ironicznie.

— To szaleństwo. Najpierw trzeba wydostać się z miasta, lecieć dziesięć godzin nad szykszakami, narazić się na atak szynszeków, przez następne dziesięć godzin lecieć nad morzem, dostać się na teren zakładu i niezauważalnie porwać jakiegoś gruchota i dostać się do bazy, przelatując przez strefę ochronną. To chyba jednak sza-

leństwo — powiedział Sziko.

— Ale to szaleństwo może nas uratować — wtrąciłem. — Inaczej przepadniemy zupełnie.

— Zaryzykujmy — poparł nas Zielony.

— Wy, Ziemianie, nie znacie realiów naszej planety tak dobrze jak my, więc wydaje się wam to proste. Musimy wymyślić inny sposób. — Sziko nie popierał ryzyka.

Po tych rozważaniach Sziko i Tisza pożegnali się z nami i wyszli.

Ucieczka

Nazajutrz zaszły wypadki, które zmusiły nas do rychłego zastosowania pomysłu Baśki. Nasi przyjaciele otrzymali bezwzględny rozkaz stawienia się w Centrum razem z robotami. Ponadto Zielonego zobowiązano do przyprowadzenia „bliżej nie zidentyfikowanych osobników", to znaczy Baśki i mnie. Termin wykonania polecenia wyznaczono na godzinę ósmą rano następnego dnia.

— Dobrali się do nas — mruknął Sziko.

— Wyjaśnimy im, o co chodzi i nie będzie sprawy. — Tisza mimo wszystko był dobrej myśli.

— Proponuję uciekać, póki czas. Jutro będzie za późno. Za późno na cokolwiek — powiedziałem.

— A jeżeli nie uda się, to i tak trafimy tam, gdzie powinniśmy trafić — poparła mnie Baśka.

Rozpoczęliśmy przygotowania do ucieczki. Zabraliśmy ze sobą wszystko, co mogłoby nam się w drodze przydać, łącznie z trzema robotami srebrnymi i jednym złotym. Pozostawiliśmy kolczyki i znaczki identyfikacyjne. Liczyliśmy na to, że jeżeli BP—JEDEN otoczył miasto jakimś kontrolnym systemem, to aparaty będą reagować na identyfikatory, a zanim błękitne roboty zorientują się, że to oszustwo, my będziemy już za strefą przez nich kontrolowaną.

Przewodami wentylacyjnymi wydostaliśmy się na zewnątrz miasta bez przeszkód. Gdy wylecieliśmy poza kopułę, otoczyły nas ciemności. Gwiazdy dawały nikłe światło. Groziło nam przede wszystkim niebezpieczeństwo bezpośredniego zetknięcia się z tiulowcami. Za radą Szika uformowaliśmy naszą grupę na podobieństwo klucza żurawi. Na samym przodzie leciał złoty robot, za nim Sziko i ja, potem dwa roboty srebrne, a za nimi Zielony, Baśka i Tisza. Klucz zamykał jeden srebrny robot. Roboty były wyposażone w noktowizory, mogły więc widzieć w ciemności. Ponadto każdy z nas miał usypiający rozpylacz.

Przez kilka godzin podróż odbywała się bez zakłóceń. Lecieliśmy w zupełnej ciszy, skupiając całą uwagę na zachowaniu szyku.

Nad ranem, kiedy rozjaśniło się, zaatakowały nas zgłodniałe szynszeki.

— Uwaga! — usłyszałem głos złotego robota.

Rozejrzałem się i zobaczyłem lecącego na nas z niebywałą prędkością ptaka-potwora. Widziałem przerażającą gardziel w głębi szeroko rozwartego paszczo-dzioba. Usłyszałem ni to skrzek, ni to zgrzyt jakby piekielnej maszyny. Zanim zdążyłem wykonać jakikolwiek ruch, potwór zamknął paszczę, złożył bezpióre skrzydła i jego potężne cielsko runęło na ukos w dół. Na swojej drodze napotkało lecącego przede mną złocistego robota, który nie miał jak cofnąć się, bo za jego plecami byliśmy my. Robot mimo wysiłków, aby wznieść się do góry, koziołkował za uśpionym szynszekiem. Nacisnąłem rączkę awiotki do oporu i rzuciłem się na pomoc. Chwyciłem go kilka metrów nad wyciągniętymi już w jego stronę parzydłami. Poczułem swąd i ostry zapach amoniaku wydobywający się z reagującego na proszek ciała szynszeka, który spadł opodal. Włączyłem antygrawitator, aby uszkodzony robot nie po-

ciągnął mnie w dół. W chwilę później dołączyłem do grupy. Stało się to w samą porę, bo właśnie nadlatywało kilkanaście innych potworów.

Tisza, Sziko, Zielony, Baśka oraz roboty ustawili się do siebie plecami rażąc napastników z usypiaczy. Tylko ja, obciążony niesprawnym robotem tkwiłem pośrodku nich. W dole kotłowało się, a swąd i zapach amoniaku stawał się nie do zniesienia. Nareszcie potwory przestały atakować. Mogliśmy spokojnie odlecieć.

— Po co narażałeś życie dla robota — spytał z wyrzutem Tisza. — Nie było potrzeby się wygłupiać.

— Uważam, że nie możemy sobie pozwolić na beztroską utratę sprzętu. Czeka nas jeszcze daleka droga.

Nie wiedziałem, dlaczego tak postąpiłem. Rzuciłem się na ratunek, zanim zdążyłem sobie uświadomić, że to tylko robot. Był tak podobny do człowieka...

— Wojtek ma rację — poparł mnie Zielony. — Może uda się go naprawić.

Zrobiło się całkiem jasno. Jak okiem sięgnąć, wyrastały tiulowce. Nie było kawałka miejsca, gdzie można by bezpiecznie odpocząć. Z lewej strony, na horyzoncie, widniały góry, ale tam panowały szynszeki.

— Czuję się jak pszczoła nad plantacją mięsożernej rosiczki — próbowała żartować Baśka.

— A ja jak tragarz własnego garbu. Nie widzę sposobu, aby się go pozbyć.

Miałem na myśli złotego robota, którego w dalszym ciągu dźwigałem, był przytroczony do mojego boku. Pomimo działania antygrawitatora ścierpły mi niektóre mięśnie. Lecieliśmy już około dziesięciu godzin bez odpoczynku. Dawało nam się to solidnie we znaki, pomimo środków orzeźwiających i przeciwsennych.

Nareszcie zobaczyliśmy morze. Jego stromy brzeg również opanowały szykszaki. Musieliśmy lecieć dalej.

To, co nazywaliśmy morzem, było właściwie oceanem oblewającym całą planetę. Na tym oceanie znajdowały się dwa kontynenty, usytuowane na przeciwległych półkulach. Jeden właśnie opuszczaliśmy z zamiarem dotarcia do drugiego. Morze wyglądało zupełnie jak ziemskie, było zielonobłękitne. Wega, większa i jaśniejsza od Słońca, rozżarzyła powietrze. Po niebie snuło się zaledwie kilka niewielkich obłoczków. Życie w morzu, nie mogąc wyjść na ląd, zadziwiało bogactwem form. Z wysokości naszego lotu widzieliśmy dziwaczne stwory morskie. Od dużych, obłych, podobnych do wielorybów, aż po olbrzymie gromady bajecznie kolorowych kulek najeżonych kolcami. Przypominały one nasze oceaniczne jeżowce. Mimo pozornego spokoju i tam toczyła się walka o przetrwanie. „Co za niegościnna planeta — pomyślałem. — Wszystko urządzone jest tu tak, że dla obcych nie ma kawałka miejsca, i to w dosłownym znaczeniu". Przypomniał mi się oklepany slogan: życie to walka o byt.

Pomimo kombinezonu, upał dawał mi się mocno we znaki. Popatrzyłem na Baśkę. Była blada i cała spocona. Kosmyki włosów przylepiły się jej do czoła. Wiridianie lepiej znosili upał, w końcu — to przecież były ich warunki naturalne.

Po dwóch godzinach lotu nad morzem dojrzeliśmy skalistą wysepkę. Radość nasza nie miała granic. Pierwsze wylądowały roboty i przepędziły z wysepki najróżniejsze stworzenia, które plażowały tam w najlepsze, starając się przy okazji nadgryźć nieuważnych sąsiadów. Nareszcie mogliśmy odpocząć. Po dwunastu godzinach lotu!

Zjedliśmy przygotowane śniadanie, a srebrne roboty naprawiły swojego pechowego kolegę. Na szczęście uszkodzenie nie było zbyt skomplikowane i naprawa nie trwała długo.

Po godzinie ruszyliśmy w dalszą

WAKACJE Z ZIELONYM czyli KOSMICZNA HECA

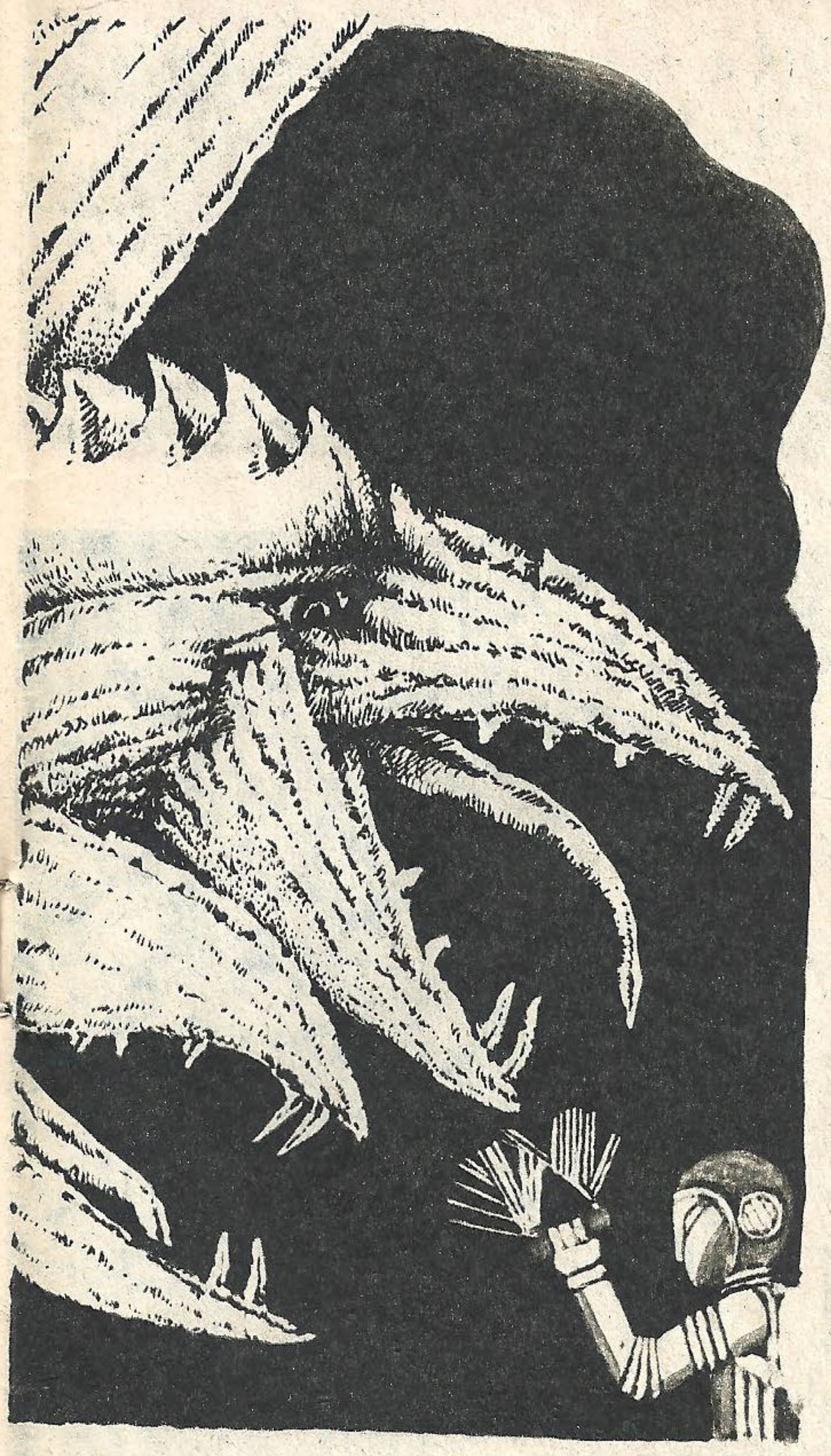

drogę. Przed północą czasu centralnego, bez przeszkód, dotarliśmy do drugiego kontynentu, na którym znajdowała się fabryka. Skrajne nasze wyczerpanie powodowało, że tylko nigdy nie męczące się roboty chwilami kontrolowały sytuację.

„Drugi brzeg" pokrywały krzewinki o nieprawdopodobnie długich kolcach, na których żerowały ni to myszy, ni to motyle. Wiridianie wytępili tam szykszaki i posadzili te dziwne rośliny, sprowadzając je z jakiejś bardzo odległej planety.

— Czy macie tak wypaczony gust, że podobają wam się te szkaradzieństwa? — dziwiła się Baśka. — Czy nie mogliście posadzić tu chociażby sałaty? Ma mnóstwo witamin, lepiej wygląda i można w niej spokojnie wylądować. A tutaj te wasze pomysły: albo jakieś wszystkożerne łepetyny, albo nie kończące się kolczaste zasieki.

— To są platinie, czyli igłowce, przywiezione z okolicy Syriusza i adaptowane do naszych warunków. Mają dwie cenne właściwości. Produkują tlen, zastępując częściowo zniszczone szykszaki, i wytwarzają platynę — wyjaśnił Sziko.

— Jak to platynę? — zdziwiliśmy się z Baśką.

— Kolce zawierają platynę, która jest potrzebna do produkcji wszelkich urządzeń, z robotami na czele. Jest znakomitym przewodnikiem prądu elektrycznego.

— No, ale żeby w kolcach była platyna, musi się znajdować w glebie i w podglebiu — zauważyłem.

— Oczywiście. Są tu całe pokłady zasadowych skał magmowych zawierających platynę. Popatrz, te szarozielone kolce zawdzięczają swoją barwę ogromnemu stężeniu chlorku platyny. Technologia wydobycia kruszcu z kolców jest o wiele prostsza od pozyskiwania z rudy — tłumaczył Sziko.

— Ma to przynajmniej dwie zalety — przyznała Baśka. — Jest bardzo ekonomiczne i sprzyja ochronie środowiska.

— A te myszomotyle? — spytałem wskazując na pasące się na krzakach dziwolągi.

— Też trzeba je było sprowadzić. Nic innego nie chciało współistnieć z igłowcami.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ewa Barańska i Wiesław Kot
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

POWTÓRZ PO KAZACHSKU

Zachód słońca nad Ałatauem Zailijskim koło Alma-Aty

— Stara cerkiew w Alma-Acie

Fotografował
Jonow Oleg Aleksandrowicz

I wtedy powiedziała to pierwsze słowo, od którego zaczął się świat.

Gul.

Posłusznie powtarzam g u l, czyli kwiat. A ona śmiejąc się, pokazuje palcem na siebie i mówi: — Nazywam się Gulia.

Bardzo jej zależało na tym, abym przed odlotem z Ałma-Aty nauczył się kilku najważniejszych słów, jakie tu, od 6 tysięcy lat, unoszą się nad stepami. Więc musiałem starannie, po parę razy powtarzać: b a ł a, u j, a k i e.

Bała, czyli dziecko.

Bała kaliede — dziecko się śmieje.

Kiedy dziecko się śmieje, raduje się matka — **ana**, cieszy się ojciec — **akie**. Ana i akie i bała tworzą dom, czyli **uj**. A obok ojca i matki dziadek — **ata** i babcia — **apa**.

— Już wszystko, co najważniejsze wiesz — powiedziała maleńka Gulia i dała mi, na drogę do Polski, takiego maleńkiego wielbłądzika dwugarbnego — **tijo**.

— Na jednogarbnego — wyjaśniła — mówimy **nar**.

Patrzę po szerokiej równinie zamkniętej górami. Słyszę wiatr sprzed tysięcy lat. A w środku tej bezkresnej równiny, pod wysoką gwiazdą, stoi **kiese** człowiek wśród szumiących traw powietrza.

Stoi i patrzy w stronę gwiazdy. Zaraz wejdzie do jurty, do wojłokowego domu, w którym bezpieczni od wichru i chłodu krzątają się ojciec, matka i dziecko.

Taki dom można naprędce złożyć i uwiesić u boku wielbłąda. A u drugiego boku przytroczyć dom dziadków. I już za godzin parę te dwie rodziny zamieszkają gdzie indziej, ale wciąż pod tą samą gwiazdą. (Gwiazda po kazachsku, jeśli dobrze powtarzam za Gulią, zwie się **żołdys**). Więc zamieszkają pod żołdysem, tam gdzie będzie nieco więcej trawy. Gdzie bliżej do wody.

Tadeusz Chudy

Młodziutka artystka ludowa w tańcu indyjskim

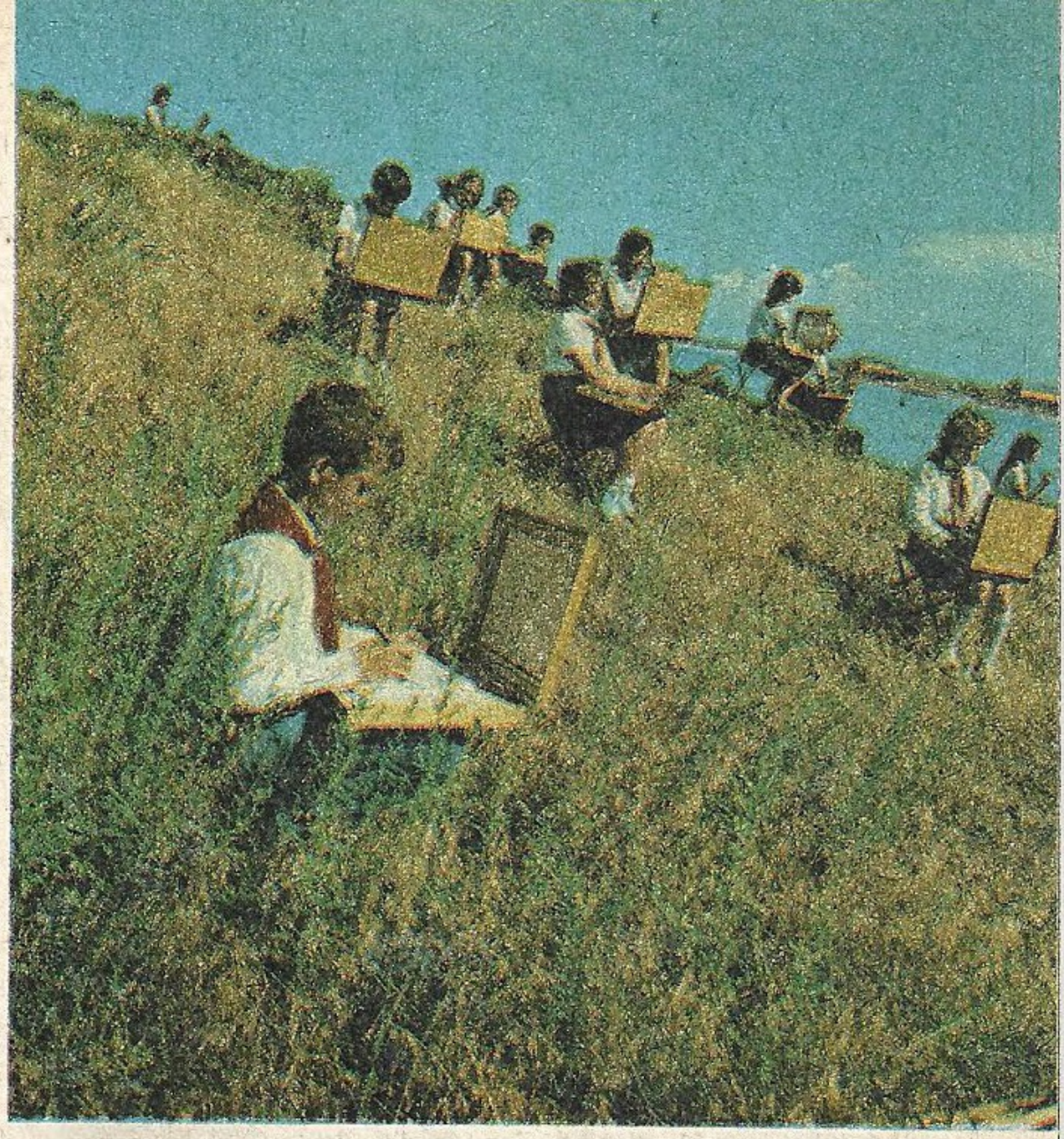

Dziecięcy plener na wzgórzach koło Kopczygaju (70 km od Alma-Aty)

Widok na Medeo, dalej — góry, za którymi są Chiny. Tutaj, na słynnym torze lodowym pobito wiele rekordów świata.

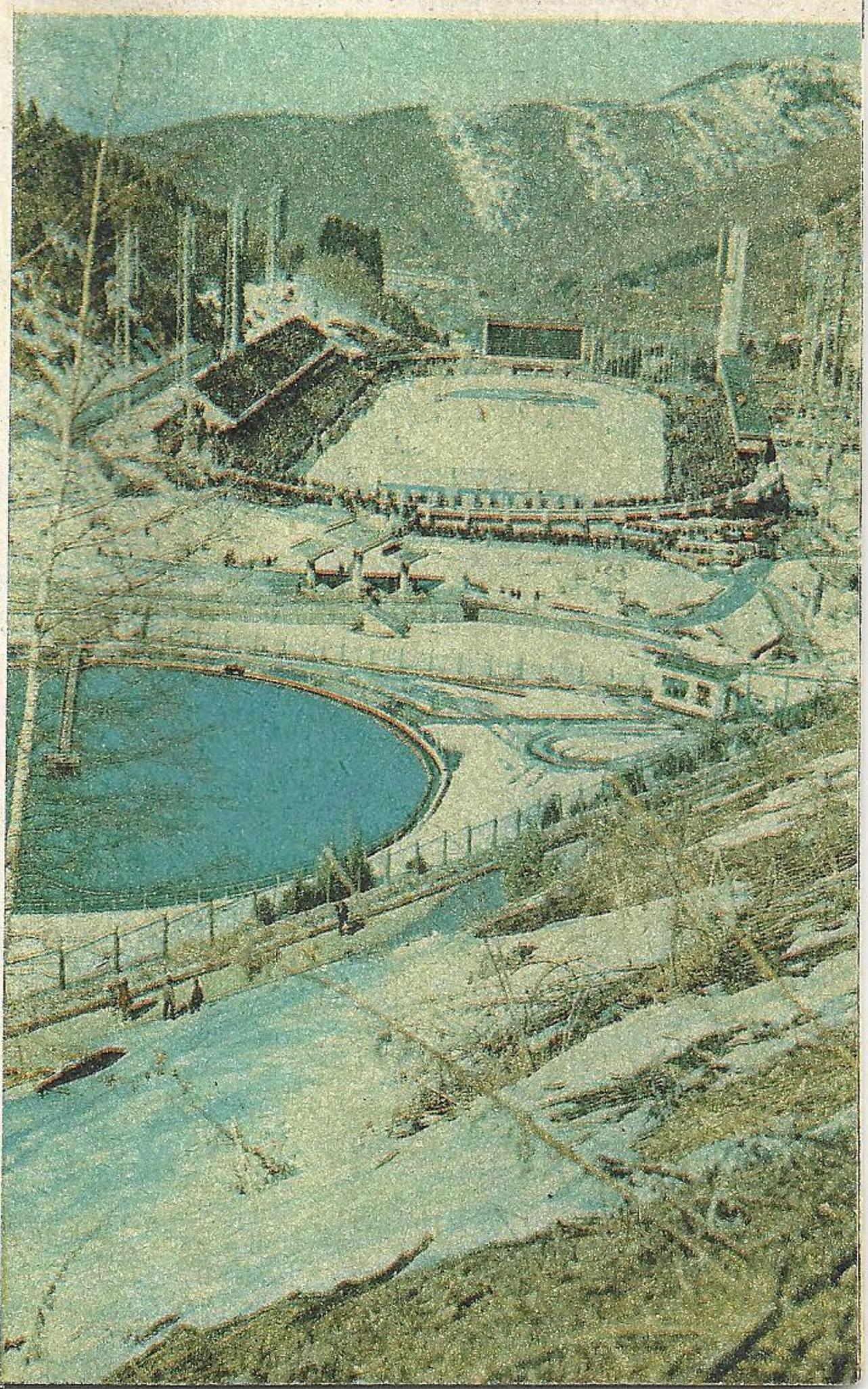

I DLA MAMY

DLA WAS

SÓL
— skarb z morza i z ziemi

Sól występuje w dużych ilościach w wodzie mórz i słonych jezior, czasem jest w wodzie źródlanej, spotykamy ją pod ziemią w postaci skał, w glebie, a także w żywności.

Ludzie poszukiwali soli już w czasach zamierzchłych. Potwierdzają to kroniki chińskie z XXI w. przed naszą erą. Rzymianie otrzymywali sól z wody morskiej przez odparowywanie w płytkich zbiornikach. Nad Morzem Czarnym dziś jeszcze można zobaczyć takie wydobywanie soli.

Sól dawniej była bardzo droga, solą płacono za pracę, służyła jako pieniądz w handlu wymiennym. Legioniści rzymscy otrzymywali przydziały soli, które nazywano „salarium", stąd w języku angielskim zapłata „salary", a we francuskim „salaire".

My — w Polsce — mamy sól spod ziemi, z Wieliczki, Bochni, Wapna, Inowrocławia i Kłodawy.

Czy wielki trud, z jakim ludzie poszukiwali soli, był spowodowany tylko kaprysem lub ciekawością? Odpowiadamy — nie. Nie lubimy jadać potraw bez soli. Są one mdłe, przyzwyczailiśmy się do innego smaku. Często chwytamy solniczkę i solimy potrawy. We wszystkim jednak potrzebny jest umiar. Pamiętajcie, że produkty spożywcze zawierają sól z natury lub dodaną i one dostarczają mniej więcej dziennie 3 do 5 g tego składnika. Chleb, którego spożycie jest dość duże, dostarcza od 3 do 5 g soli. Do przyrządzanych potraw dodaje się dla smaku około 3 do 5 g soli na porcję. W sumie ilość ta pokrywa dzienne zapotrzebowanie człowieka.

Sól kuchenna (chemicznie — chlorek sodu) jest potrzebna organizmowi, ale w odpowiedniej ilości. Niedobór soli występuje przy silnym poceniu się podczas pracy fizycznej, szczególnie w stosunkowo wysokich temperaturach otoczenia, podczas intensywnej gimnastyki i przy uprawianiu sportu, a także w stanach chorobowych. Odczuwamy wówczas osłabienie, zmęczenie, niekiedy miewamy mdłości, a nawet wymioty. Wtedy trzeba sobie pomóc w jakiś sposób. Gdy mocno się spocimy, np. grając w piłkę, trzeba wypić trochę niezbyt zimnej wody z sokiem, sok owocowy niesłodki lub wodę z dodatkiem małej ilości soli. Można też jeść soczyste owoce, lecz nie popijać wodą.

Zbyt dużo soli szkodzi organizmowi. Sól zatrzymuje wodę w tkankach. Nadmiar jej jest z ciała wydalany dzięki nerkom. Działają one jak filtr, wydalają wszystkie zbędne i szkodliwe substancje, a więc i nadmiar soli. Jedząc zbyt słono przysparzacie pracy własnym nerkom, a przecież muszą one prawidłowo funkcjonować przez całe nasze życie.

Krystyna Tarnowska

FOTO zagadka

CO TO JEST?

Kto nie zgadnie — znajdzie odpowiedź na str. 30.

DBAMY O ZDROWIE

Dlaczego lubimy grzyby?

Wielką przyjemnością dla wielu osób, zarówno starszych, jak i dzieci, jest jesienne grzybobranie. Jeśli tylko w okolicy rozlegnie się wieść, że w lesie pojawiły się grzyby, kto żyw wyrusza wtedy z koszem na ich poszukiwanie. Potrafimy wtedy wstać bardzo rano, aby pierwsi dotrzeć do znanych miejsc, gdzie udawało się nam znajdować dorodne borowiki, wysmukłe kozlaki, brązowe podgrzybki, żółte kurki. Potrafimy przedzierać się przez zagajniki i kąpać niemal w porannej rosie, aby znaleźć i zebrać maślaki. Rzadko kto żałuje czasu na grzybobranie i nie chodzi tu tyle o to, że powietrze w lesie jest bardzo przyjemne i czyste. I nie o to, że zbierając grzyby wykonujemy ćwiczenia mięśni i stawów, o których to ćwiczeniach trudno nam codziennie pamiętać. Ale przede wszystkim chodzi o grzyby.

Czy zastanawialiście się, dlaczego tak się dzieje? Otóż okazało się, że grzyby, chociaż same nie zawierają ani dużych ilości białka, ani tłuszczów, ani cukrów, to jednak są bardzo chętnie spożywane przez ludzi i zwierzęta. Badania wykazały, że grzyby zawierają wiele składników mineralnych, m. in. związki cynku, które opóźniają starzenie się ludzi, a przede wszystkim starzenie się mózgu.

Cynk przyspiesza gojenie się ran po operacjach oraz przewlekłych nie gojących się owrzodzeń. Także za sprawą cynku jedni ludzie mają tzw. ładne włosy, a przy jego braku — nie. Korzystnie wpływa też cynk na urodę, przyspiesza wyleczenie z trądziku młodzieńczego, można go całkowicie zlikwidować. Cynk wchodzi w skład wielu enzymów i powoduje naszą odporność przeciwko wirusom i innym drobnoustrojom.

Jeśli mamy ochotę zjeść grzyby, to zwykle oznacza to, że naszemu organizmowi brakuje pewnych składników w pożywieniu.

Posłuchajmy głosu natury. Jedzmy grzyby. Trzeba tylko przedtem nauczyć się prawidłowo odróżniać grzyby jadalne od trujących. Jeśli nie nauczymy się tego z książek, idźmy do lasu z kimś, kto potrafi rozpoznać grzyby trujące, a kiedy nauczymy się tego, korzystajmy z jesiennych darów lasu.

dr Leszek Marek Krześniak

Fot. Ryszard Borowy

Gry planszowe i łami głowy „Płomyczka"

BITWA CZOŁGÓW

Bitwa czołgów to nowoczesna gra planszowa, w której gracze przeprowadzają pozorowaną potyczkę wozów bojowych. W bitwie biorą udział dwa pododdziały czołgów. Każdy składa się z czternastu pionków-czołgów: trzynastu czołgów lekkich i czołgu dowodzenia, specjalnie przystosowanego do pokonywania terenu skażonego bojowymi środkami chemicznymi. Pionek oznaczający ten czołg powinien wyróżniać się od pozostałych wielkością lub barwą.

Na początku czołgi ustawia się tak, jak to widać na naszej planszy (czołg dowodzenia w samym narożniku). Ostatecznym celem starcia jest jak najszybsze zawładnięcie stanowisk wyjściowych przeciwnika przez możliwie największą liczbę wozów bojowych pododdziału.

● Gracze wykonują kolejno po jednym ruchu. Każdy czołg wolno przesuwać w prawo lub w lewo, w górę lub w dół oraz odpowiednio ukośnie na dowolną odległość, lecz tylko po jasnych polach. Na czarne pola zapór minowych żaden z czołgów wjechać nie może. Lekkie wozy bojowe obu walczących pododdziałów nie mogą wjeżdżać również do strefy skażonej (dziewięć czerwonych pól na środku planszy).

● Czołg dowodzenia strefę środkową może przechodzić bez obaw, a nawet zatrzymywać się w niej. Jednakże w strefie skażonej czołgi dowodzenia nie mogą walczyć przeciwko sobie. Naturalnie każdy z czołgów dowodzenia w ruchu przysługującemu jego „właścicielowi" może opuścić tę strefę, by uczestniczyć w dalszych akcjach.

● Podczas walki wolno oczywiście eliminować z placu boju czołgi przeciwnika (czołgi dowodzenia także). Eliminowanie czołgów nieprzyjacielskich odbywa się przez wejście na zajęte pole (ruchem w prostej linii na dowolną odległość) i usunięcie pokonanego wozu bojowego poza plac gry.

● Każdy czołg po zajęciu pola w strefie wyjściowej przeciwnika musi w niej pozostać aż do końca rozgrywki.

Jeżeli jeden z graczy doprowadzi swoje wszystkie nie wyeliminowane z rozgrywki czołgi do stanowisk wyjściowych przeciwnika, wówczas bitwę przerywa się i następuje obliczenie zysków i strat.

Za przeprowadzenie czołgu dowodzenia na stanowisko zajęte na początku przez czołg dowodzenia pododdziału przeciwnika otrzymuje się trzy punkty, za osiągnięcie przez ten czołg dowolnego pola strefy wyjściowej kontrpartnera — dwa punkty. Także za każdy czołg lekki doprowadzony do bazy przeciwnika otrzymuje się dwa punkty. Natomiast wartość wszystkich wozów bojowych pozostałych na placu boju — w tym również czołgu dowodzenia — dolicza się po jednym punkcie.

W bitwie czołgów zwycięża ten z grających, kto uzyskał więcej punktów. Jeżeli okaże się, że obydwaj przeciwnicy zdobyli jednakową ilość punktów, o zwycięstwie decyduje miejsce zajęte przez czołg dowodzenia. Jeśli obydwa czołgi dowodzenia stoją na polach z podwójnymi krążkami (albo żaden nie dotarł tam na czas), dopiero wtedy gra kończy się remisem.

Na przykład: jeżeli jeden z graczy doprowadzi do celu czołg dowodzenia oraz osiem innych wozów bojowych, natomiast drugi gracz na opanowanych stanowiskach będzie mieć siedem wozów bojowych, a w polu jeszcze trzy oraz czołg dowodzenia — wtedy pierwszy otrzymuje 19 (3 + 16) punktów, drugi zaś 18 (14 + 4).

Jak widać, przy pozornej przewadze drugiego gracza partia kończy się zwycięstwem pierwszego.

Jeżeli jeden z graczy doprowadzi do strefy przeciwnika swój czołg dowodzenia (ale nie zdąży go ustawić na właściwym miejscu) oraz sześć dalszych wozów bojowych przy pięciu pozostałych w polu, natomiast drugi gracz w strefie przeciwnika ulokuje dziesięć wozów bojowych (a czołg dowodzenia i pozostałe wozy bojowe utracił), wówczas pierwszy zawodnik zdobywa tylko 19 (14 + 5) punktów, drugi 20. Wygrywa więc drugi.

Z powyższych przykładów wypływa wniosek końcowy, niezwykle istotny dla grających w tę grę: w bitwie czołgów trzeba grać bardzo uważnie od samego początku, starając się nieustannie kontrolować zyski i straty.

W bitwę czołgów grałem ostatnio na obozie harcerskim w Puszczy Myszynieckiej. Cztery partie przegrałem, za to wygrałem siedem. To chyba nie najgorzej?

Zdzisław Nowak

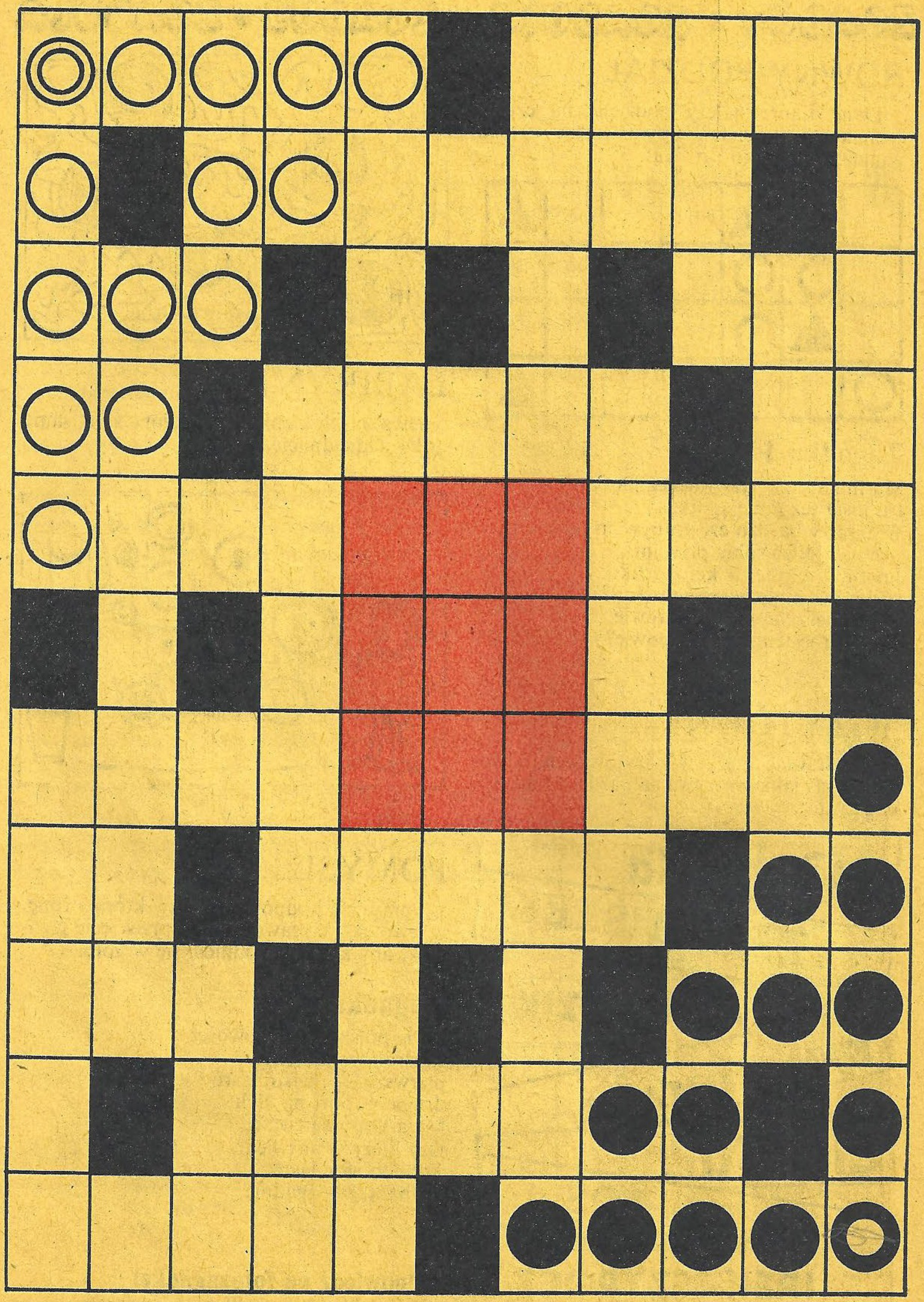

RÓWNY PODZIAŁ

Daną figurę należy podzielić na cztery jednakowe części tak, aby w każdej z nich znalazło się kółko i trójkąt.

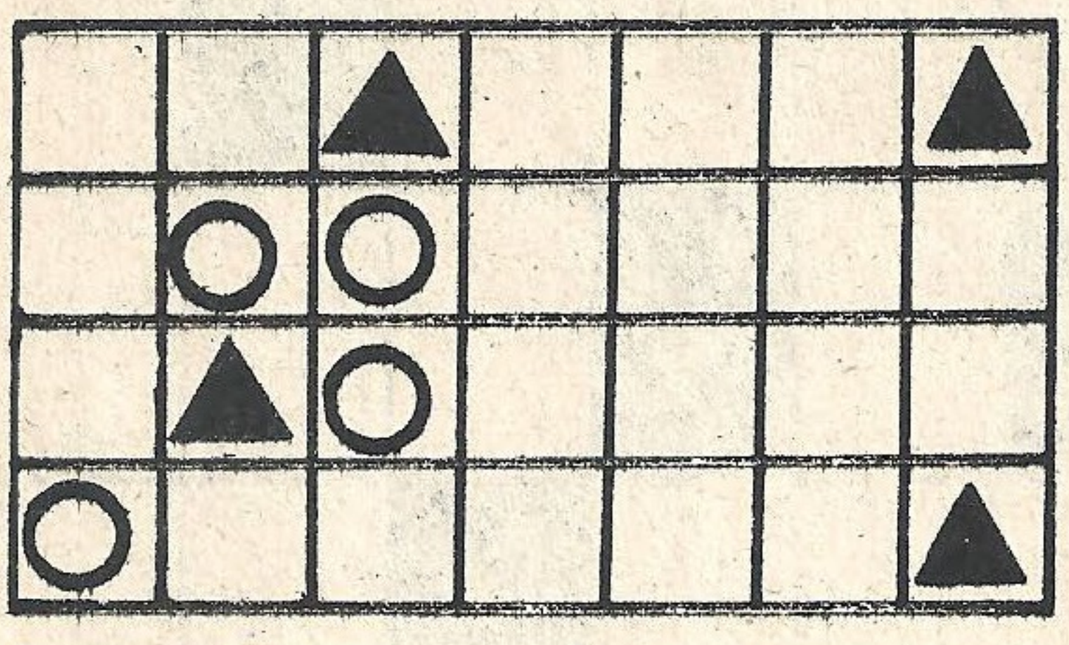

Zagadka 1

Ma mnie słoń, jak również płotka,
I u łosia też mnie spotkasz.
W Łomży bardzo często bywam,
w małej łódce sobie pływam.
Jestem w kłosie, w kołowrotku,
kółko ma mnie w samym środku.
Stale mieszkam w Michałowie.
Czym ja jestem? Kto odpowie?

J. S.

WIZYTÓWKI

Przestawcie litery w wizytówkach, a dowiecie się, jakie warzywa najbardziej lubią ich właściciele.

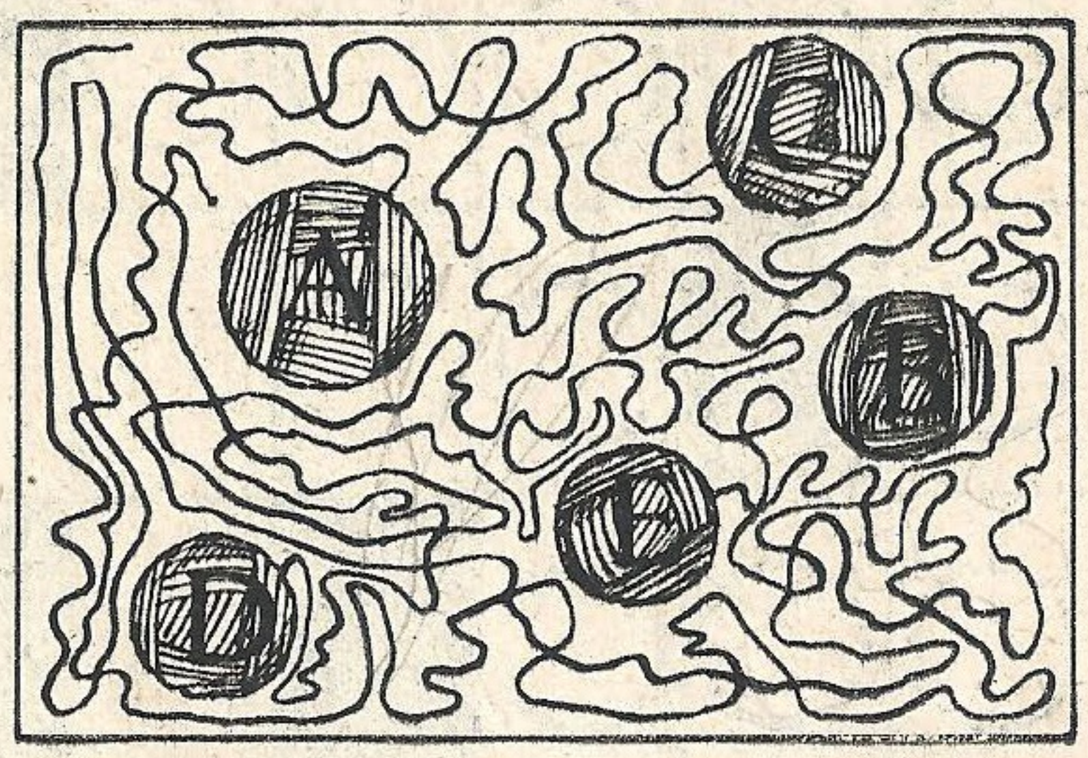

LABIRYNT

Dwa z tych kłębków połączone są tą samą nitką. Odgadnijcie, które?

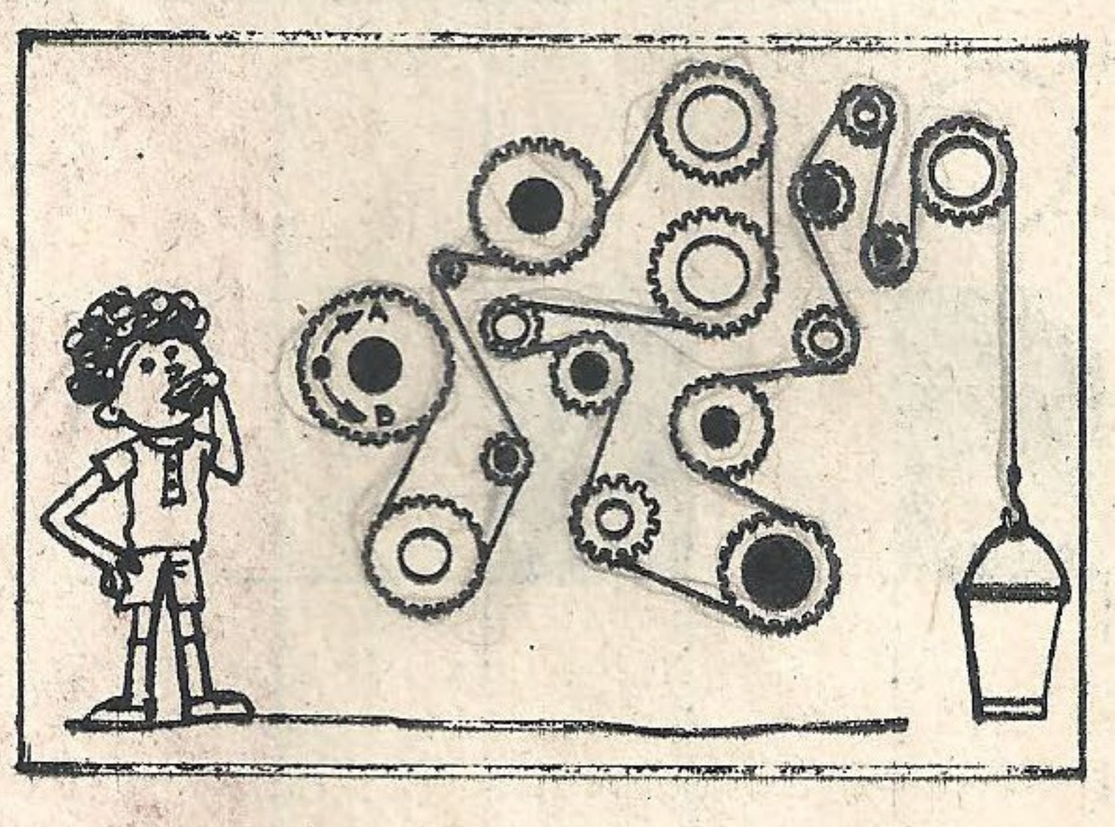

POMYŚL!

Pomyślcie i odpowiedzcie, w którą stronę, w lewo czy w prawo, należy przekręcić guziczek, aby kubełek podniósł się w górę.

Zagadka 2

Dwie polskie miejscowości
spośród innych wielu:
pierwsza — miasto wśród jezior,
druga — port na Helu...
Mają wspólną cechę,
trzy litery w nazwie...
Jakie to są miasta,
chyba każdy zgadnie.

S. A.

Odpowiedź na fotozagadkę:
Poczwarki motyla bielinka kapustnika

NASZ ZWIERZYNIEC

LIPIEŃ

(Thymallus thymallus)

Lipień jest zgrabną rybą o smukłej sylwetce i ładnych, dużych oczach. W stosunku do długości ma małą masę, nie przekracza 1,5 kg. Jego grzbiet jest zielonkawoszary, boki — ołowianosrebrzyste, a brzuch srebrzysty. Na bokach ma szeregi drobnych plamek. Ozdobą lipienia jest wysoka płetwa grzbietowa. Przez jej promienie przebiega, od przodu ku tyłowi, kilka ciemnych pasków. W okresie godowym obrzeże płetwy grzbietowej przybiera barwę purpurową i wtedy wygląda ona jak kolorowy proporczyk.

Lipień odżywia się ikrą innych ryb, larwami owadów i owadami latającymi nad tonią. Chwyta je w locie, wyskakując na chwilę ponad powierzchnię wody. Obserwując to, ten i ów wędkarz podsuwa od razu lipieniowi pod nos sztuczną muszkę lub mały błystek z nadzieją, że go zaraz złapie. Dumny jest wędkarz, gdy uda mu się zdobyć tę rzadką rybę. Wyskakując z wody, lipień musi najpierw „rozpruć" powierzchnię wody, w czym pomaga mu właśnie wysoka płetwa grzbietowa. Lipień jest bliskim krewnym ryb łososiowatych. Żyje w rzekach i jeziorach prawie całej Europy, aż po Ural. Jednak wybiera przede wszystkim potoki górskie lub chłodne jeziora. W Polsce spotykamy go w górnych dorzeczach Wisły i Odry oraz w rzekach Pomorza Zachodniego. Prawie każdy wędkarz wie, że najbardziej „zalipienione" rzeki to: Wda, Brda, Gwda, Radunia, Drawa, Łupawa i Dunajec.

Znacznie większym od naszego lipienia jest lipień syberyjski, albo bajkalski, którego opisał, będąc na zesłaniu koło Jeziora Bajkał, polski zoolog Benedykt Dybowski. Lipienie syberyjskie żyją w wodach Syberii i Ameryki Północnej.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Elżbieta Barcik

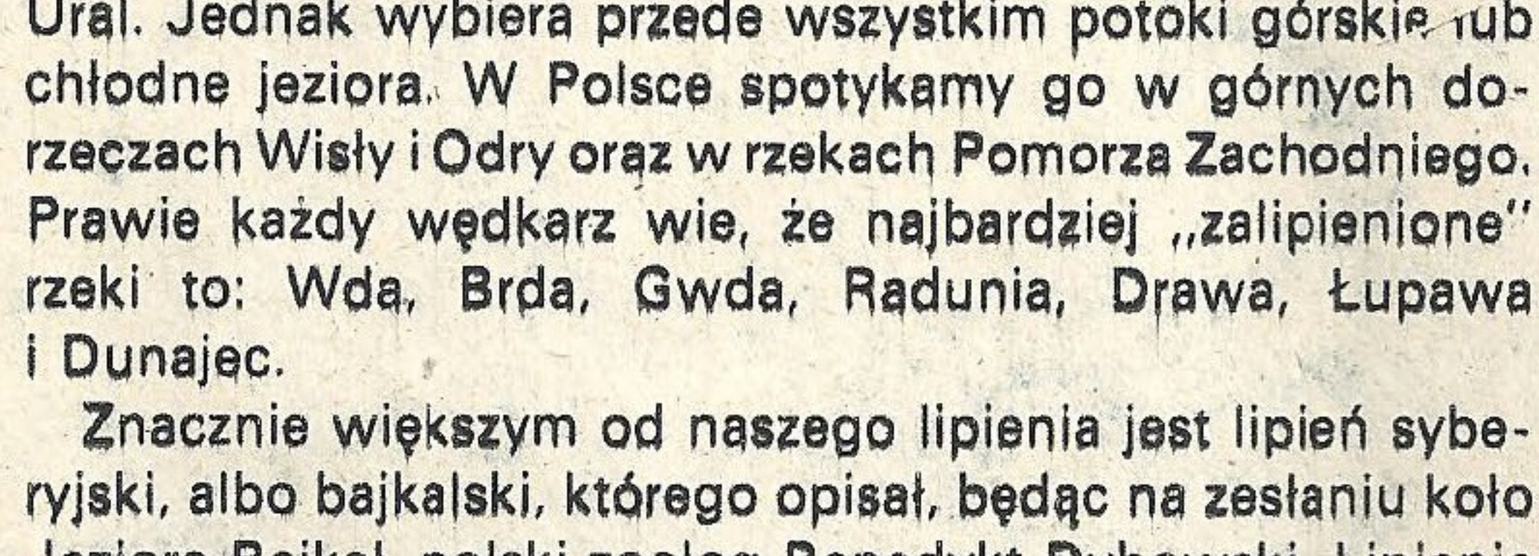

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Alicja Olszewska (zastępca redaktora naczelnego), Jadwiga Przeczek, Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (kierownik działu graficznego), Elżbieta Wrzecionkowska.

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Flisak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zbigniew Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietów wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PBK XII Oddział w Warszawie Nr 370044-1195-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA, KRAKÓW, UL. WADOWICKA 8.
Papier rotogr. 70 g, rola 75 cm, kl. III.

Zam. 8739/89 O-10
Nakład 250 300 egz.
ISBN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

LIPIEŃ

Fot. Stefan Rutkowski, Rys. Elżbieta Barcik

CENA 130 ZŁ